



ROK LVIII

NR 19

TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 9 MAJA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: O wyborze zawodu—*Teodora Męczkowska*. „Uciekła mi przepióreczka.”—*K. S.* Kobieta w rzemiosłach w dawnych czasach—*Z. G.* Pani Titayna—*Jadwiga Krawczyńska*. Wiersze—*Róża Czekańska-Heymanowa*. Braterstwo ludów (c. d.)—*Marja Jabanne-Wielopolska*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Miłaszewska*. Melodja zwiędłych liści (dok.)—*Rosso di San Secondo*, (tłom. *K. B.* Meksykanka (dok.) (z moich szpargałów)—*Gomaston*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Wychowanie fizyczne i sport—*Z. Ł.* Z refleksyj na czasie—*M. Jacuńska*. Strzałki—*al.* Wiosenne uwagi—*W. Włodek-Słęk*. Z książek—*C. W.* Z Ruchu Wydawniczego. Żaboty i kamizelki. Bal „Białych Łóżecek.”—*Sekwa*. O modzie—*W. W. S.* Z życia stolicy—*W. L.* Artystyczne roboty ze skóry—*Cz.* Zdobienie balkonów i okien—*Stan. Schönfeld*. Wina owocowe—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy „Okrety, które płyną wśród nocy...” (c. d.)—*Beatrix Harraden*. Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

O WYBORZE ZAWODU



ok szkolny dobiega końca. Z 787 szkół średnich Rzeczypospolitej wejdzie w życie koło ośmiu tysięcy maturzystów i maturzystek. A w życiu tem pierwsze zagadnienie, które się nasunie i pierwsze, które domagać się będzie natychmiastowego rozstrzygnięcia, to zagadnienie „wyboru zawodu. Wobec zagadnienia tego

stanie każda z tych ośmiu tysięcy osób, każda też rozstrzygnie je, wstępując na ten, czy inny wydział uniwersytetu, politechniki lub szkoły zawodowej. Uczelnie zaroją się od nowych kandydatów; tu i owdzie okaże się brak miejsca dla licznie zgłaszających się młodych adeptów pewnej gałęzi wiedzy. Ten i ów skutkiem tego zmieni postanowienie: Zamiast na wydział filozoficzny wstąpi do wyższej szkoły handlowej lub zamiast medycyny zacznie studiować prawo. Od początku nowego roku szkolnego życie popłynie zwykłym trybem, równo, spokojnie.

Każdy będzie miał dla siebie miejsce, wciągnie się w ogólny rydwan i zdobędzie poczucie, że znów przez kilka lat musi płynąć z falą w określonym kierunku. Czy ten kierunek jest dla niego właściwy, czy droga, którą obrał, odpowiada zasadniczym ryansom jego umysłu, psychiki i nawet fizycznej konstrukcji — o to nie zatroszczył się zbytnio ani on sam, ani jego najbliższe otoczenie, ani szkoła.

I pytam, dlaczego tak jest? Dlaczego sprawa pierwszorzędnej doniosłości nie zasłużyła sobie dotąd na to, aby zająć należne jej miejsce w szeregu poważnych zagadnień życiowych?

Dlaczego rozstrzygnięcie jej pozostawione jest przypadkowi, zbiegowi okoliczności lub w najlepszym razie zupełnie powierzchownemu traktowaniu? Trudno zaiste zrozumieć, jakie są tego powody. Bo wszak wszyscy zdajemy sobie dobrze sprawę z tego że człowiek, którego praca zawodowa nie skłania do przymusu, do wyrzeczenia się upodobań, który właśnie tę pracę umiłował i w niej gustuje, że ten człowiek, można to powiedzieć bez przesady, wygrał wielki los na loterii. Praca zawodowa wypełnia minimum trzecią część naszego życia, to też nie bez znaczenia jest fakt, czy w pracy tej znajdujemy ujście dla naszych uzdolnień, aspiracji, upodobań, lub może nawet realizację ideałów życiowych, czy też wykonywamy ją jedynie z musu, jedynie dlatego, że coś robić trzeba, a może głównie dlatego, że z czegoś żyć trzeba. Tragiczny jest los ludzi, którzy na schyłku życia przyznają, „gdybym drugi raz wybierał zawód, nie byłbym nigdy prawnikiem”, „wolałbym kamienie tłuc niż być nauczycielem”, „za nic nie pozwoliłbym synowi poświęcić się medycynie, chorzy zatruli mi życie” itp.

Zdawałoby się, że przynajmniej ci ludzie, którzy na własnej skórze odczuli i sami przeżyli wszystkie skutki i smutki fałszywie obranej drogi, powinni chcieć i umieć uchronić dzieci swe od podobnie fatalnych i mszczących się na całym życiu omyłek. Tymczasem i oni nie podnoszą głosu i nie nawołują do właściwego, racjonalnego postawienia sprawy. A racjonalne postawienie sprawy wymagałoby przede wszystkim takiego układu stosunków, przy którym „wybór zawodu” zostałby zaliczony do tej kategorii spraw, nad którymi każdy — zarówno osobnik zainteresowany, jak ojciec, matka, opiekun i wychowawca — obowiązani są dobrze się zastanowić, które należy rozważać nie tylko ze stanowiska praktycznego lecz i teoretycznego, nie tylko pod kątem widzenia interesów osobistych, ale potrzeb społeczeństwa i państwa.

Aby dobrze wybrać zawód, trzeba dobrze poznać własne upodobania, własne uzdolnienia, siebie samego z jednej strony, z drugiej zaś wniknąć i zbadać, jakich uzdolnień i specyficznych własności umysłu i charakteru ten, czy inny zawód wymaga. Dopiero szczegółowe rozważenie tych dwóch stron jednej kwestji i sumienne zestawienie tego, czego dany zawód wymaga z tem, co my sami, jako nosiciele tych czy innych cech fizycznych i psychicznych dać możemy, pozwoli na powzięcie możliwie racjonalnej decyzji i uniknięcie rażących i fatalnych omyłek.

Zrozumiałą jest bowiem rzeczą, że inne cechy są potrzebne temu, kto ma być dobrym inżynierem, botanikiem, a inne temu, kto wybiera zawód lekarza lub prawnika; innych zalet umysłu żądamy od uczonego, a innych od artysty.

To też tak samo, jak w dziedzinie medycyny lekarz zanim postawi diagnozę musi przede wszystkim doskonale zbadać chorego, uświadomić sobie specyficzne właściwości jego organizmu, tak samo jednostka, która ma powziąć postanowienie co do przyszłego swego zawodu, musi poznać strukturę psychiczną danej indywidualności i od niej przede wszystkim uzależnić decyzję co do wyboru zawodu.

To, co w ogólnej formie powyżej stwierdziłam, stanowi już dziś przedmiot specjalnych badań naukowych, a zastosowanie wyników tych badań do racjonalnego wykorzystania różnorodnych uzdolnień ludzkich i co za tem idzie do celowego oddziaływania człowieka na człowieka, zyskuje sobie coraz wyraźniej prawo obywatelstwa. W Ameryce, we Francji, w Niemczech psychologia i psychotechnika są na usługach dygnostyki zawodowej. Badania psychotechniczne zostały zapoczątkowane w Ameryce dla celów wojskowych.

Życie zmusiło do szukania metod, które pozwoliłyby w najkrótszym czasie z bogatego materiału ludzkiego wybrać jednostki najbardziej do danego zawodu uzdolnione. Dla tych celów powstały specjalne pracownie, zaopatrzone w odpowiednie przyrządy, przy których pomocy prowadzone są badania wraz z doświadczeniami, mającemi na celu,

ilościowe i jakościowe określenie sprawności oka, ucha, dotyku, smaku, węchu, a nadewszystko sprawności umysłu. Prace w tym kierunku obejmują coraz szersze kręgi i dziś liczne pracownie różnych typów zajmują się badaniem uzdolnień i wyprowadzaniem z otrzymanych danych wniosków, praktycznie przydatnych dla celów poradnictwa zawodowego.

U nas pracownia tego typu istnieje, utrzymywana przez Patronat na młodzieżą rzemieślniczą, subwencjonowana przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu. Kierownikiem pracowni jest inżynier Wacław Hauszyld. O pracach w tej dziedzinie wiedzy powinni być dokładnie poinformowani rodzice i pedagodzy. Zarówno jedni jak i drudzy muszą sprawą tą interesować się, aby w krąg tych zainteresowań wciągnąć młodzież klas starszych i zmusić ją stopniowo do należytego zrozumienia ważności samego zagadnienia i konieczności rozumnego, a przede wszystkim rozważnego ustosunkowania się do jednej z pierwszorzędnych kwestyj życiowych. Praca w tym kierunku musi być jak najszybciej zainicjowana, a następnie prowadzona celowo i systematycznie.

Na najbliższą metę nakreśliłabym następujący plan działania:

Przedewszystkiem należałoby zorganizować dla szerszej publiczności odczyty popularne, których celem byłoby wyłożenie w formie możliwie przystępnej naukowych podstaw zagadnienia i wykazanie, jaką doniosłość posiada umiejętne i rozumne stosowanie tych podstaw do życia praktycznego. Sądzę, że Towarzystwo Eugeniczne, któremu, o ile mi wiadomo, zagadnienia te nie są obce, może z pożytkiem dla sprawy podjąć się tej pracy i nawet w stosunkowo krótkim czasie zorganizować nie jeden, ale szereg odczytów, poświęconych kwestji wyboru zawodu. Prelegentami mogliby między innymi być ludzie, którzy od szeregu lat pracują przy warsztatach, mających na celu badanie uzdolnień, a zatem ludzie, którzy, niewątpliwie, mogliby i umieli na zagadnienie, o którym mowa, rzucić właściwe światło. Pozatem do współpracy nad tym problematem muszą być powołani doświadczeni pracownicy różnych zawodów: profesorowie, lekarze, prawnicy, którzy w ciągu swej kariery zawodowej znajdowali czas na to, aby zastanawiać się głębiej nad pracą przez siebie wykonywaną, a co może najważniejsze, umieli wobec tej pracy stanąć w roli obiektywnego obserwatora. Przez taki stosunek do rzeczy zdołali urobić sobie właściwy pogląd na to, jakie cechy są niezbędne do sprawnego wykonywania tej, czy innej pracy lub, co może jeszcze ważniejsze, jakich rysów nie może mieć osobnik, poświęcający się danemu zawodowi.

Ta wiedza, i to doświadczenie, które, niewątpliwie, wielu ludzi posiada, musi przeniknąć do szerszych mas i pobudzić je do zastanowienia.

Na uświadamianiu szerszych mas, przede wszystkim rodziców, nie należy poprzestawać — konieczną jest rzeczą zajęcie się i młodzieżą, koń-

czącą szkoły zarówno średnie, jak i powszechne. W tej pracy pomocną i czynną musi przede wszystkim okazać się szkoła. Dotąd, musimy to wyznać szczerze, sprawy, związane z przyszłym zawodem maturzysty lub maturzystki nie zajmują w życiu szkolnym żadnego miejsca. Zapewne ogrom różnorodnych zajęć sprawił, że nie skierowano uwagi należytej na rzecz tej doniosłości, co wybór zawodu. To trzeba zmienić! Z chwilą, gdy do świadomości naszej dochodzi poczucie błędu, zmiana postępowania w myśl interesów jednostki i państwa jest nieunikniona. Kierownicy i wychowawcy młodzieży muszą znaleźć czas na to, by w młodzieży, kończącej szkoły, urobić przekonanie, że wybór zawodu to zagadnienie niezmiernie ważnej wagi, że od umiejętnego wyboru zawodu zależy nie tylko ton całego życia, ale i właściwy jego sens i charakter.

Idąc po tej linii, muszą Rady Pedagogiczne lub Rady Wychowawców na wspólnej naradzie zastanowić się poważnie nad każdą jednostką ludzką, powierzając im pieczę, a kończąc szkołę, ustalić wybitniejsze rysy jej umysłu, charakteru, usposobienia i co za tem idzie wypowiedzieć pogląd, jaka praca byłaby przypuszczalnie dla niej najodpowiedniejsza. Rozumiem dobrze, że w poglądach tych mogą być błędy, luki, sądzę jednak, że kilkoletnie obcowanie w codziennym życiu z daną jednostką, stykanie się z nią nieustannie na terenie życia szkolnego i pozaszkolnego daje pewną rękojmię, że przeciętna tych błędów nie będzie tak wielka, by uniemożliwić wykorzystanie wskazówek, na tych poglądach opartych.

Po tych pracach przygotowawczych powinna odbyć się w szkole konferencja z całą klasą, a następnie z poszczególnymi jej uczniami. Na konferencji ogólnej zostaną młodzieży zakomunikowane wyniki narady poprzedniej, to znaczy poglądy o nich samych, ich uzdolnieniach i upodobaniach, jak się one zarysowują w opinii wychowawców. Przyczem jest rzeczą jak najbardziej wskazaną, aby młodzież poglądy te w miarę potrzeby korygowała przez dostarczenie o sobie materiału rzeczowego.

Konferencja z poszczególnymi jednostkami będzie miała na celu podzielenie się spostrzeżeniami bardziej osobistej natury, nie kwalifikującemi się do poruszenia przed większym audytorjum.

Wreszcie jeszcze tu, na terenie szkoły muszą być wygłoszone dla młodzieży odczyty o takim samym charakterze, jak odczyty dla dorosłych, przystosowane jedynie do potrzeb młodego audytorjum i momentu, w którym zostają wygłoszone. Dla zaoszczędzenia czasu byłoby rzeczą wskazaną łączenie młodzieży kilku klas ósmych razem dla wysłuchania takiego odczytu. Po każdym odczycie powinna z reguły następować dyskusja, w której młodzież mogłaby się swobodnie wypowiadać i zbierać niezbędne dla siebie informacje.

Pozostaje jeszcze jedna droga, która dla całokształtu sprawy ma poważne znaczenie i której nie należy pomijać. Mam tu na myśli ankiety, przeprowadzane wśród młodzieży i gron nauczycielskich. Dane, zebrane tą drogą, mogą, niewątpliwie, stać się cennym drogowskazem przy opracowywaniu zasad, na których ma się opierać racjonalna organizacja wyboru zawodu. Jedną z takich ankiet, redagowaną przez Dr. J. Joteyko, była przeprowadzona w szkołach w 1923 r. przez Państwowy Instytut Pedagogiczny w Warszawie. Ankieta ta była skierowana do uczniów i uczenic w ostatniej klasie szkół średnich i powszechnych. Ankieta składała się z 2-ch części. Część pierwsza miała być wypełniona przez wszystkich uczniów i uczenice w danej klasie, część druga przez nauczyciela i lekarza szkolnego. Sądzę, że podobne ankiety powinny być przeprowadzane corocznie, mają one bowiem podwójne znaczenie: Z jednej strony gromadzą pewien materiał rzeczowy, który zebrany w poważniejszej ilości, może nabrać wartości naukowej i upoważnić do wyprowadzenia takich czy innych wniosków, z drugiej zaś, ankiety podobne skierują uwagę samej młodzieży na zagadnienie, które powinno być przez nich samych rozważone, a z którego doniosłości młodzież, dla łatwo zrozumiałych powodów, nie zdaje sobie należyście sprawy.

Rozumiem dobrze, że podane przeze mnie środki działania bynajmniej sprawy nie wyczerpują. Sądzę jednak, że tylko po tej linii muszą iść praktyczne zapoczątkowania, mające na celu dążenie do uregulowania sprawy zawodowego i naukowego kształcenia młodzieży oraz wogóle racjonalnego postawienia sprawy organizacji wyboru zawodu. Teodora Męczkowska.

„UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA...”



la uniknięcia nieporozumień uprzedzam z góry, że to, co nastąpi, niema być ani krytyką literacką, ani recenzją teatralną, ani niczem w tym guście. Niech więc nikt nie ma do mnie później pretensji o to, jak jedna z Czytelni-

czek „Bluszczu“, która mimo moich wielokrotnych zastrzeżeń, że sprawy pedagogiczne rozpatrywać będę tylko z punktu widzenia społecznego, zarzuciła mi srogo, że moje artykuły nie są fachowo-naukowe. Sądzę, że jeśli czytelnikowi przysługuje prawo czytania, lub nieczytania danego artykułu, to i autorowi chyba wolno

także pisać ze stanowiska, jakie uznaje za wskazane. Byleby tylko dobrze wywiązał się z podjętego zadania.

Ale wracam do „przepióreczki“, która tymczasem „uciekła“ i podkreślam jeszcze raz wyraźnie, że nie chcę pisać o utworze, ale — jak to się często wyraża — „dokoła“, „z powodu“, „z okazji“, je-

dnem słowem: o czemś, co w pewien sposób z tym utworem się łączy.

Zdarzyło mi się niedawno być w towarzystwie, w którym pewna nauczycielka ludowa z prowincji bardzo wymownie, t. zn. nie dając nikomu dojść do słowa, rozprawiała o stosunkach szkolnych i sprawach z tem związanych. W powodzi poruszanych tematów wspomniała także o ostatnim utworze Żeromskiego, dość ostro go krytykując. Przysłuchiwałam się z uwagą temu, w samozachwycie wygłaszanemu monologowi, bo zawsze czegoś nauczyć się można.

Muszę przy tem nadmienić, że ową nauczycielkę miałam sposobność poznać jeszcze przed rokiem, kiedy to wróciwszy świeżo z kursu wakacyjnego na Helu, opowiadała z wielką pewnością siebie o zaletach i wadach tego kursu. Każdy może mieć zdanie, jakie mu się podoba, każdy może wydać sąd, na jaki go stać, otoczenie może zrobić z tym sądem to, co uzna za stosowne. To jest zupełnie jasne i naturalne. Ale co mnie niemile uderzyło w tem opowiadaniu — to ton, ta jakaś dziwna, nieznana dotąd w tych sferach nonszalancja w stosunku do prawdziwej wiedzy, w niedocenianiu dystansu między głębokiem wykształceniem profesorów uniwersytetu, a skromniutkim poziomem wiedzy nauczycieli ludowych. Padły takie słowa, jak to, że profesorowie uniwersytetu mają tylko fachowe wykształcenie w swoim zakresie, że w wielu wypadkach musieli zwracać się do kursistów po wiadomości z innych dziedzin nauki, nawiasem mówiąc, nie bez pewnej dla siebie kompromitacji. Wogóle czuć było chęć zaznaczenia, że wiedza profesorów uniwersytetu wcale im nie imponuje, bo wprawdzie oni wiedzą coś więcej w swoim przedmiocie, ale za to w innych przedmiotach wiedzą więcej nauczyciele ludowi — tak, że właściwie to się wyrównuje.

Przekonałam się później, że nie jest to zjawisko odosobnione i że w pewnych sferach nauczycielstwa ludowego dokonała się pod tym względem bardzo znamienna, choć niekoniecznie korzystna przemiana. I musi to być przemiana uderzająca, skoro znalazła już swój wyraz w literaturze.

„Czy znacie państwo Żeromskiego: „Uciekła mi przepióreczka...“? — zapytała owa nauczycielka i jak zawsze nie czekając odpowiedzi, zaczęła wywodzić:

„Żeromski wykazał w tym utworze zupełną nieznajomość stosunków. Dziś niema już takich po-

kornych, potulnych, uniżonych nauczycieli, którzyby się tak płaszczili przed profesorami uniwersytetu, jak to Żeromski przedstawił.

Nie znałam jeszcze wtedy tego utworu. Byłam zdziwiona. Jakto? Żeromski, taki znawca życia, bystry obserwator ludzi i stosunków miałby w tym wypadku tak się pomylić?!

Biorę się do czytania, szukam tych pokornych nauczycieli i... zamiast tego znajduję właśnie upokorzonych profesorów. Dlaczego Żeromskiemu spodobało się w tak niekorzystnych barwach przedstawić kierowników kursu — to jego rzecz. Nie będę tego badała, dochodziła, krytykowała, bo jak zaznaczyłam — nie o analizę utworu mi chodzi. Ale gdzież tam są ci potulni nauczyciele ludowi, których dopatrzyła się wspomniana nauczycielka?

Jedynymi przedstawicielami Kursistów są Smugon i Smugoniowa. Czyżby specjalnym objawem ich potulności miało być to, że Smugoniowa zakochuje się w kierowniku kursu, prof. Przełęckim? Albo może wyrzuty, bardzo mało potulne, które z tego powodu Smugon czyni Bogu ducha winnemu profesorowi? Boć przecież poza tem stosunek wzajemny obu tych światów bardzo słabo się uwydatnia — a fakt że prof. Przełęcki proponuje Smugoniowi, aby zamiast niego jako przedstawiciel kursu witał ministra i że Smugon to chętnie przyjmuje — jeśli jest dowodem pokory, to w każdym razie nie nauczycieli ludowych.

Skądże ta pretensja do Żeromskiego?

Nietrudno się domysleć. Żeromski wkłada w usta Przełęckiego takie słowa:

„Nasze kursy miały rozwinąć w nauczycielach ludowych ich, że tak powiem, wartość szkolną. A rozwinęły w nich obok odrobiny znajomości gramatyki, geologii, historii, obok odrobiny wiadomości politycznych, niepomierłą sumę

ambicji, rozwydrzyły ich, stworzyły w ich duszach karierowiczostwo“.

A dalej:

„Gdyby nas tu nie było, gdybyśmy mu za dnia i w nocy nie świecili naszymi tytułami, pozycjami, aspiracjami, posadami i wysokimi miejscami na świecie, pracowałby na swojej grzędzie z pożytkiem. Nawet we śnie nie śniłaby mu się inna karjera.“

I wreszcie konkluduje:

„Dowiedział się tego i owego coś tam niedokładnie pochwylił — i zepsuł się moralnie.“

Nic to, że Przełęcki chciał temi słowami zrazić do siebie Smugoniową. Tem bardziej należy przypuścić, że starał się utrafić w stronę najczulszą, w coś, co jest prawdziwe, istotne, a nie na prędce z palca wyssane, bo toby nie odniosło skutku. Zresztą nie zapominał, że Przełęcki jest w tym utworze postacią najbardziej wartościową — poważną, prostolinijną — postacią, z którą bez kwestji autor najbardziej sympatyzuje. W jego więc słowach przebijają się muszą do pewnego stopnia zapatrywania samego autora.

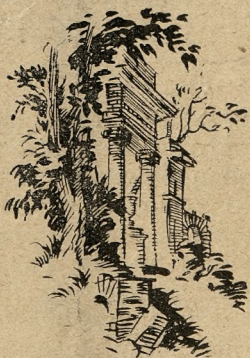
A więc kursy wakacyjne, do których tak wielkie przywiązywano nadzieje, rozmiągają się poniekąd z celem. Ci, dla których w pierwszym rzędzie były przeznaczone — nauczyciele ludowi o najniższym poziomie wykształcenia — nie odnoszą z nich pożądaných korzyści. Przeciwnie, ślizgając się po powierzchni nieugruntowanych i nieprzetrawionych wiadomości, popadają w śmieszny zarozumiałość, roszczą sobie niezdrowe pretensje. Trzeba przyznać, że są to objawy wysoce szkodliwe — zwłaszcza, gdy chodzi o skromnych pracowników na niwie wychowania narodowego.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że to wszystko, co tu powiedziano, nie dotyczy się ogółu naszego nauczycielstwa szkół powszechnych, które ze wszech miar zasługuje na najwyższe uznanie. Chodzi tu tylko o ten dość liczny zresztą zastęp jednostek niedokształconych, do których, jak się okazuje, stosować trzeba o wiele oględniejszą metodę uzupełniania studiów, niż to dotychczas czyniono.

Mam wrażenie, że w przytoczonych słowach Przełęckiego mieści się właśnie — mimochodem przez Żeromskiego rzucone — ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem rozmiękania się z celem.

A wtedy tą „uciekającą przepióreczką“ mogłaby łatwo stać się — w założeniu swem bezwzględnie piękna i pożyteczna — idea kursów wakacyjnych.

K. S.



KOBIETA W RZEMIOSŁACH W DAWNYCH CZASACH



echą charakterystyczną okresu powojennego jest silny wzrost pracy zarobkowej kobiet. Pochodzi to z jednej strony z powodu zastępowania pracowników mężczyzn przez kobiety w czasie wojny, jak również jest to naturalny wynik zwiększenia się zakresu funkcji publicznych (państwowych, samorządowych, społecznych i t. d.) co wymaga zaabsorbowania większej ilości sił pracowniczych. Rozwój wielkiego przemysłu i handlu, a z drugiej strony ciężkie warunki materialne skutkiem zniszczeń wojennych — wszystkie te czynniki tak różnorodne, zmusiły również kobiety, do bardziej intensywnej pracy zarobkowej.

Jednak myliłby się ten, któryby sądził, że udział kobiet w życiu gospodarczym jest zjawiskiem zupełnie nowym i datuje się dopiero od ostatnich lat.

Mylnem jest również — popularne mniemanie, że — ukazanie się kobiet na terenie pracy zarobkowej rozpoczęło się od chwili, gdy w przemyśle zapanowały maszyny i zatriumfował t. zw. ustrój kapitalistyczny.

Historja stwierdza, że okres pracy zarobkowej kobiet rozpoczął się już przed wiekami i to w rozmiarach stosunkowo dość znacznych.

Pominąwszy czasy starożytne, co do których nie posiadamy konkretnych danych, choć wiemy, że już wówczas pewne gałęzie przemysłu pozostawały w rękach kobiet, ze zjawiskiem wybitnego udziału kobiet w pracy zarobkowej spotykamy się w wieku XIII, XIV i XV-tym — w epoce rozwoju rzemiosła, przyczem już wtedy istniały rzemiosła jedynie dostępne dla kobiet.

I tak n.p. według przepisów obowiązujących jednego ze starszych statutów przemysłowych we Francji t. zw. „Księgi rzemiosła” — tylko kobiety mogły się zajmować przędzeniem i tkaniem jedwabiu, wyrobnem jedwabnych nakryć głowy, złotych kapeluszy i t. p.

W przemyśle istniały też rzemiosła dostępne dla płci obojej.

Jak dalece w owej epoce zjawisko zawodowej pracy kobiet było naturalne, świadczy fakt, że gdy w końcu wieku XV-go magistrat miasta Tuluzy chciał założyć warsztaty tkackie jedwabiu, — jako główny motyw tego przedsięwzięcia podano oficjalnie potrzebę dania łatwego, a dostatecznego zarobku „dziewczętom bez zajęcia oraz starym kobietom, niezdolnym do ciężkiej pracy”.

Z czasem przemysł jedwabny przeszedł w znacznej mierze do rąk mężczyzn, jednakże i kobiety miały w nim zastrzeżony swój udział. Gdy Ludwik XI wprowadził go do Lyonu, ogłosił, że w rzemiosle tem mogą pracować zarówno mężczyźni jak i kobiety wszystkich stanów.

Niektóre rzemiosła, jak naprzykład krawiectwo, bieliźniarstwo, przez długie lata pozostawały wyłącznym przywilejem kobiet, a wielu znakomitych mieszczan, przedstawicieli sądownictwa i kupiectwa w wieku XV-tym oddawało swe córki do terminu bieliźniarstwa.

W mieście Hali ten cech czysto kobiecy otrzymał różne przywileje, między innymi władze cechowe miały prawo usuwać z miasta wszystkie szwaczki, których moralność nie stała na właściwym poziomie. Wydalone mogły w dalszym ciągu zajmować się swoją pracą zawodową, nie wolno im było jednak brać udziału w zebraniach i uroczystościach cechowych.

W końcu wieku XIII następuje dość ciekawe zjawisko opanowania rzemiosła dotychczas wyłącznie mę-

skich przez kobiety. W tym okresie blisko 80 rzemiosł męskich stało się dostępnymi dla kobiet, a w dwieście lat potem prawie wszystkie rękodzieła mają charakter mieszany.

Jednak już od samego niemal początku przejawia się ze strony „silniejszej połowy” coraz ostrzejsza tendencja do przeróżnych ograniczeń i upośledzenia pracy kobiecej — uważanej za niebezpiecznego współzawodnika — pomimo rzekomo mniejszej siły i wytrzymałości kobiecego organizmu.

I dlatego właśnie, że uważana jest za słabszą, z osobliwą logiką, której przykłady i dziś tak często spotykamy — krępowano kobiety pracownice przeróżnemi, bardzo nieraz uciążliwymi i utrudniającymi jej pracę przepisami.

A więc np. kobieta zamężna nie miała prawa pracować w innem rzemiosle, lub choćby tylko u innego majstra niż jej małżonek. Istniały ustawy, zabraniające udzielania kobietom patentu mistrzyni, inne znów nadawały prawo terminu tylko córkom i żonom mistrzów cechowych.

Wdowom po śmierci męża wolno było, podług ogólnie przyjętego zwyczaju, zarządzać przez cały czas wdowieństwa warsztatem męża, jednakże w wielu wypadkach prawo to podlegało ostrym ograniczeniom.

I tak np. w niektórych wypadkach wdowa była zmuszoną do składania kaucji, gdzieindziej znów nie wolno jej było trzymać więcej nad pewną, ściśle określoną ilość robotników płatnych, inny zaś przepis zabrania przyjmowania nowych terminatorów. Gdy wszyscy dawniejsi wyzwolili się na czeladników — właścicielka warstata stawała wobec dylematu: albo zamknięcia swego przedsiębiorstwa, albo też utrzymania go przy pomocy płatnych robotników, co zresztą na to samo wychodzi, gdyż warunek ten uniemożliwiał zupełnie współzawodnictwo z warsztatami, należącymi do mężczyzn, które takim ograniczeniom nie podlegały.

Istniały też przepisy, zabraniające wdowom po rzemieślnikach wogóle prawa najmu i pozwalające pracować tylko własnymi rękami. W niektórych rzemiosłach wdowie wolno



było utrzymywać warsztat tylko rok jeden po śmierci męża. O ile wychodziła powtórnie zamaż nie za członka cechu—traciła wszelkie prawa jako właścicielka warsztatu.

Jeżeli jednak poślubiła robotnika tego samego cechu, co jej zmarły mąż — wówczas ów zwykły robotnik awansował bardzo wysoko, gdyż wyzwalany był od razu na mistrza.

Krępowano w cechach kobiety—za to w zawodach wolnych, uprawianych nawet potajemnie, dochodziły często do doskonałości i bywały groźnymi współzawodniczkami pracy męskiej.

Organizacja rzemiosł ściśle kobiecych była taka sama jak i cechów męskich.

Rzemieślniczki, podobnie jak rzemieślnicy, musiały przechodzić przez uświęcone tradycją stopnie: terminatora, czeladnika, mistrza, a wszelkie przepisy, dotyczące czasu, porządku zajęć, warunków, określających prawo wstępu do terminu i wyzwolin na czeladnika i mistrza, były zupełnie identyczne.

Na czele cechów kobiecych stały przełożone, wybierane przez mistrzynie cechowe.

Ale władzą swą musiały się one dzielić z naznaczonymi przez urzędy przełożonymi mężczyznami, których liczba i zakres praw był narażenie równy, wkrótce jednak, bo już na początku wieku XIV na skutek reformy statutów przemysłowych—mężczyźni otrzymują znacz-

ne prerogatywy i przewagę nad swojemi koleżankami.

Od samego też początku aż po dzień dzisiejszy zarobki kobiet były stale mniejsze niż zarobki mężczyzn w tychże samych rzemiosłach, ulegając zresztą nieznanym wahaniom w zależności od rynku roboczego.

I tak w wieku XV-ym zarobek kobiety wynosił zaledwie połowę zarobku mężczyzny, a na początku XVI-go stulecia obniżył się jeszcze bardziej. Jednakże w końcu XVI wieku zaczął stopniowo wzrastać i stanął na wysokości trzech czwartych zarobku męskiego.

W obecnych czasach różnica ma się podobno jak trzy do pięciu.



Jako przyczyny tego zjawiska, wysuwane są następujące argumenty—mniejsza wydajność tej pracy, niższe wymagania ze strony samych kobiet, oraz ich stanowisko społeczne, które sprawia, że w utrzymaniu rodziny jej zarobek odgrywa zazwyczaj tylko pomocniczą rolę.

Wszystkie te racje, zdaniem mojem, stają się coraz mniej aktualne.

Widzimy bowiem, że zarówno w zawodach wolnych, jak i rzemiosłach, w wielu wypadkach praca kobieca nie ustępuje męskiej ani wydajnością, ani przygotowaniem.

A czyż jej stanowisko, zwłaszcza w ostatnich wojennych i powojennych czasach—jako żywicielki rodziny nie stało się już współrzednem ze stanowiskiem mężczyzny, a często nawet głównem i jedynem?

Dlaczegoż więc w tych wypadkach, kiedy praca kobiety nie ustępuje w niczem pracy męskiej — a nawet ją przewyższa dokładnością i precyzją wykonania—odmawia się jej prawa (nie teoretycznie co prawda, ale co gorzej praktycznie) zarobkowania w równej mierze?

Kwestja wyzysku pracy kobiecej, jak widać z przytoczonego powyżej szkicu historycznego, jest odwieczną i starą jak świat.

Zmieniły się tylko formy—istota pozostała ta sama. Z. G.

PANI TITAYNA



ie wiem, czy lubicie typ rasowej Francuzki z jego wybitnymi cechami. Szczupła, powiedzmy o twarzy — chuda, drobna i zręczna figurka sucha w kostce

nóżka, nieco za długi na nasz gust owal twarzy, wąski nos o dużych nozdrzach, ślicznie zarysowane usta i oczy czarne, płonące i mądre, — potrafią być wzruszająco smutne—oczy, które biją blaskiem i wabią ponętą. Czoło gładkie i równe pod wspaniałą falą czarnych, puszystych włosów. Cera ciemna, oczywiście żywo malowana, z której nie poznasz, czy kobieta, ma lat dwadzieścia dwa, czy czterdzieści... Wdzięk i dy-

stynkcja, jakie są mimowolnym przejawem dobrej rasy.

Jeśli to lubicie — to pani Titayna was zachwyci.

Nazywa się ona naprawdę pani Elżbieta Sauvy-Tisseyre. Jest powieściopisarką i dziennikarką, a była niedawno gościem w Polsce, w charakterze korespondentki politycznej paryskiego dziennika „Intransigeant”.

Spotkałam ją w Warszawie, gdy zwiedziła już Kraków i Górny Śląsk, a wybierała się na dalszą wędrowkę, a właściwie odlot samolotem do Gdańska i Wilna.

Zapytałam p. Titaynę o cel jej podróży po Polsce.

— „Intransigeant” rozpoczął kampanję na rzecz Polski w czasie

ostatniej sesji Rady Ligi Narodów—wyjaśniła p. Sauvy-Tisseyre. Mnie polecono w ciągu dalszym zebrać odpowiedniej dokumentacji na miejscu w Polsce.

Nakreśliłam sobie plan bardzo obszerny. Pragnę w artykułach swych rozpatrzyć najważniejsze kwestje polskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej — szczególnie sprawa granic tak bardzo aktualna...

— W jaki sposób informuje się pani o naszych sprawach?

— Mam swoją własną metodę pracy. Jestem przede wszystkim bezstronna i nie poddaję się uprzedzeniom... Przyjeżdżam do jakiegoś kraju i sama zbieram informacje. Chodzi mi o prawdziwy

obraz życia, o poznanie stosunków... W ten sposób zwiedziłam tu np. Górny Śląsk. Nie anonsowałam się nikomu, nie pokazywano mi tego, co pokazałby chcieć; sama przebiegałam centra przemysłowe, aby zdać sobie sprawę z warunków bytu robotnika, z istoty stosunków narodowościowych...

— I odkryła pani...?

Pani Sauvy-Tisseyre rzuca na to zupełnie interesujące uwagi.

Niewątpliwa ukazała się jej oczom polskość ludu śląskiego i jego gorący patriotyzm. Ale kapitał jest niemiecki i wielki przemysł wyzyskuje niemiłosiernie robotnika. Widzi ona w tem możliwość ciężkich w przyszłości konfliktów

Wypytuje dalej panią Sauvy-Tisseyre o wrażenia, odniesione z rozmów z naszymi kierownikami politycznymi.

O panu premierze Grabskim, o panu ministrze spraw zagranicznych Skrzyńskim, mówi francuska dziennikarka z dużym uznaniem. Wybiera się do Sulejówka, nęci ją poznanie osobiste Marszałka Piłsudskiego, „wielkiego człowieka”, o którym „z szacunkiem mówią jego przeciwnicy”.

Do Gdańska udaje się pani Sauvy-Tisseyre, aby poznać opinię polską, niemiecką i angielską o „korytarzu”. Z Wilna wybiera się również nad granicę litewską i sowiecką. O sprawach naszych mówi z kompetencją.

— Studjowałam „kwestje” polskie i mogłabym pisać o nich, siedząc w Paryżu — zapewnia mnie z uśmiechem. — Przyjechałam tu jednak, aby zobaczyć na własne oczy. I mogę panią zapewnić, że wyjadę bardzo szczerze oddana sprawie polskiej.

— Czy pani oddawna uprawia reportaże polityczny?

— S osunkowo od niedawna, bo w dziennikarstwie wogóle od trzech lat pracuję. Mam w swym dorobku dwie powieści, opowiadania, fantazje, rubryki światowe i reportaże. Od roku powierzono mi reportaże polityczny. Odtąd jestem w nieustannej podróży...

Oczywiście Europę znam doskonale; byłam w północnej Afryce, od Algieru do Tunisu, przedziwnie

spędzając tygodnie całe wśród wódzów plemion arabskich, śpiąc pod namiotami i jedząc w kucki na ziemi... Zwiedziłam potem Bałkany, byłam w Rumunii, w Turcji... W tej ostatniej podróży miałam oryginalną przygodę... Podróżuję przeważnie samolotem, naichętniej samolotem... Otóż wpadliśmy w morze Czarne i ledwie z pilotem zdołaliśmy się ocalić, lądując w pustynnej Tracji. Przez sześć dni szukaliśmy drogi, pieszo lub wozem...

— Niesłychanie ciekawe, barwne jest życie pani...

— Właściwie nawet siedząc w Paryżu, od dłuższego czasu obracam się w towarzystwie egzotycznym. Byłam damą dworu siostry Mikada, japońskiej księżny Kitaszirakawa, która z synami bawiła we Francji. Miałam wraz z księżną udać się w podróż do Japonii, gdy nieszczęśliwy wypadek, jakiemu przed rokiem uległa rodzina księżęca, unicestwił te plany...

— Przypominam sobie ten wypadek — na drodze do Deauville...

— Tak właśnie. Byłam wówczas ranna w nogę...

Z prawdziwą przyjemnością przeciągam rozmowę z panią Titayną. Młoda kobieta, która tak poważnie traktuje swój zawód i tak oryginalny wybrała tryb życia, jest bądź co bądź dziś jeszcze typem nieprzeciętnym. Zwłaszcza, że jest Francuzką, a więc należy do narodu, w którym według słów jej własnych „kobiety mają za mało niezależności”. Zastrzega się zresztą przeciw posądzaniu jej o feminizm: „Feminizm — mówi — jest bronią kobiety słabej”.

Niewątpliwie, trzeba siły woli i energii duchowej, aby iść przez życie własną drogą, tak, jak to czyni pani Titayna. Dowiaduję się paru szczegółów z jej życia osobistego:

Jej ojciec, generał Tisseyre, miał w swym sztabie wzystkich niemal marszałków i generałów Francji dzisiejszej od Focha począwszy... Rodzina z tradycją surowego katolicyzmu...

Pani Sauvy-Tisseyre wspomina o swych studjach historycznych, teologicznych i orientalnych. Przemyka się słowo o ośmiodniowym

małżeństwie z woli rodziny z człowiekiem niekochanym. Kasacja w trybunale duchownym w Rzymie wyzwala ją z jarzma.

O swych podróżach po szerokim świecie opowiada pani Titayna chętnie i interesująco. Porywa ją żywioł przestrzeni i swobody. Nic przecież awanturniczego nie ma w tej eleganckiej pani o wielkich, poważnych oczach i ślicznych ustach, które uśmiechają się bez radości.

— Ileż smutku i rozczarowań, gdy przebiega się świat i spotyka ludzi, których nie zobaczy się już nigdy więcej...

Zaduma melancholji przechodzi w pogardliwy grymas.

— I ileż brzydkich rzeczy się widzi...

Pani Titayna charakteryzuje swe życie kobiety samodzielnej.

— Podróżuję zawsze sama, bo to jest najlepsze dla mej zawodowej pracy; trudności i przygód się nie obawiam. Ale kobieta sama... może pani sobie wyobrazić, jaki to twardej los! W hotelach nieznanych — wstrętnie! Kobiety oglądają cię zezem, a mężczyźni zbyt otwarcie.

Nie chciałabym mówić za wiele o walce o byt. W obecnych warunkach kobieta musi pracować nie tylko równo z mężczyzną, ale więcej i lepiej, aby utrzymać się w szeregu...

Nie mogę zaprzeczyć pani Titaynie, boć wiemy, jak to bywa gdzieindziej... i prawie zawsze...

— Niech pani powie odemnie kobietom, które chciałyby próbować swych sił, że w życiu takim, jak moje, znajduje się moc olbrzymią zainteresowań, ale szczęścia... nie.

— Nie dziwi mię wcale zdanie pani — oświadczam — Powtórzę je, ale dodam, że droga taka, pełna wrażeń i wyłożonej pracy jest czemś zachwycającem...

— Ja też jestem zadowolona — potwierdza pani Sauvy-Tisseyre. Mam swoje marzenia. Śni mi się własny, mały samolocik, którym mogłabym odbywać dalekie loty, niczem nieskrępowana...

W czarnych, gorących żrenicach przepływają wizje.

Oczy Titayny widzą skrzydła, które poniosą ją znowu daleko...

Jadwiga Krawczyńska.



RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA.

ŻYCZENIE

*Oglądałam w Paryżu tysiące mknących aut,
jeździłam North-Expressem i Expressem South:
z Anglikiem, całym w kratki przebiegłam salę Luwru,
z zazdrością podziwiałam potężne doki Duwru;
dumałam gorzkie dumy w celi Giordana Bruna,
modliłam się w grobowcu Wielkiego Szoguna...*

*Wszystko zdawna słyszane i wszystko już widziane,
w szufladki poskładane i numerowane.*

*Stałam w pysznych hotelach, lśniących od komfortu,
gdzie w księgi zapisano nazwisko me z paszportu.
Miałam numer pokoju i numer przy tabldocie;
każdy gość miał swój numer, a gości było krocie.
I każdy z nas podziwiał według Bedekera,
co inne w Neapolu, co inne w Bordighera,*

*a wszystko już słyszane, a wszystko już widziane,
w szufladki poskładane i numerowane.*

.....

*A gdy się katalogów i wrażeń już nazbiera,
popalić katalogi, w kąt rzucić Bedekera!
i zaszyć się w maleńkim, zapadłym kątku na wsi,
gdzie w krąg by żyli ludzie, najmiłsi, najłaskawsi;
gdzie każdy miałby własne, trudzienne, dzienne sprawy,
a nikt imienia mego niewiedny, nieciekawyl...
Położyć się na trawie, pod rosochatą sosną,
gdzie pachną miodne zioła, i kwiaty cicho rosną...
I nie znać się na ziołach, nie wiedzieć nic o mapach,
i zgubić się we świecie, wdychając słodki zapach!*

MARJA JEHANNE - WIEŁOPOLSKA

BRATERSTWO LUDÓW

(Rzecz o dziele Nieświadości)

20. NIECH ŚPI SPOKOJNIE W GRUZACH SWOICH, CUDO RAK LUDZKICH I LUDZKIEGO DUCHA: KATEDRA W CZESNOROMAŃSKA, O ŁUKACH, JAK SKRZYDŁA ANIELSKIE ZŁOŻONE DO LOTU, CZY ODLOTU — O DWUNASTOPROMIENNEJ GWIEZDZIE KAPLIC DOOKOŁA GŁÓWNEGO OŁTARZA, RZEźBIONYCH DRŻĄCEM NARZĘDZIEM ZACHWYTU.

NIECH ŚPI W NIEJ ZAGRZEBANA Z DZIECIĄTKIEM MADONNA XIII WIEKU, BĘDĄCA TEŻ DZIEŁEM JENO ZACHWYTU.

STZASKANE JEJ RĘCE SZUKAJĄ KONWULSYJNIE DZIECIĄTKA W RUMOWISKU. LEŻY ONO OPODAL TWARZĄ W PIACHU I TYNKU, NIE POPUŚCIWSZY JEDNAK GLOBU ZIEMSKIEGO.

TEN GLOB W MALUTKIEJ, ALABASTROWEJ RĄCZCE STERCZY ŻAŁOŚNIE, CHWAŁY MINIONEJ ŚWIADECTWEM ZNIKOMEM.

WAŻ, KTÓREMU TAK NIEDAWNO JESZCZE I TAK DŁUGO MIAŁDŻYŁA GŁOWĘ PRZEZROCZYSTA STOPA MADONNY WYPEŁNIAŁA ZPONIEWIERKI. LEŻY OTO NA SŁONCU, NA PYSZNYM ZŁOMIE MARMURU RÓŻOWEGO I KAMIENNEM OKIEM PATRZY IRONICZNIE W GLOB ZIEMSKI, POŚRÓD RUIN ZADEPTANY.

ŚPIJCIE, SPRAWCY ODRODZENIA MOJEJ OJCZYZNY,¹⁾ WAŻ BĘDZIE CZUWAŁ.

21. NIECH ŚPI SPOKOJNIE W POŁAMANIU SITOWIA GNIAZDO TRZCINIĄKA: CUD PTASIEGO DUCHA, SPIESZNYM MOZOŁEM PŁODNEJ ROZKOSZY UTKANY.

NIECH ŚPI ZAGRZEBANA W JEGO ZNISZCZENIU, SAMICZKA Z PISKŁĘTAMI.

WRÓCIŁA NIEDAWNO Z DALEKICH, SPOKOJNYCH KRAIN SŁONECZNYCH, NIEDAWNO WYKLĘŁY SIĘ DROBINY Z UPSTRZONYCH, BRUDNOBIAŁYCH JAJ.

TYLE MIAŁA CZASU W CHWILI OSTATNIEJ, ŻE ROZŁOŻYŁA SZEROKO RDZAWOPSTRE, MACIERZYŃSKIE SKRZYDŁA I ZGINEŁA W SŁODKIM MNIEMANIU, ŻE UCHRONIŁA PISKŁĘTA OD ŚMIERCI, SIEBIE SAMĄ POŚWIECIWSZY.

ŚPIJ, W UŁUDZIE GORZKIEJ CZYNU SPEŁNIONEGO. SPEŁNIŁAŚ, NIEWIEDZĄC, I CZYN INNY.

22. NIECHAJ ŚPI SPOKOJNIE MROWISKO, NA GRÓB ŻOŁNIERSKI ROZKOPANE, NA CZTERY WIATRY ROZSIANE W GŁĘBI BORU.

Pełne jeszcze miała uszy wrzawy obcego miasta, dokąd ją wojna zagnała, dlatego może chodziła w tak nabożnej zadumie po dawno niewidzianym swoim lesie. Jak po kościele.

Cudna nakrywa tego kościoła spoczywała nad jej głową, na wspianiałych zwornikach czubów dębowych, podczas gdy ścianę przecinały ostrołuki powyginanych buków, otwierające widok na daleki, niepotrzebny świat. Do sarkofagów pomarłych władców leśnych, wiódł szacowny koberiec, otulający każdą świętokradczy szelest w tłumik dyskretny.

Z prostych jak świece, wyprężonych torsów jaworowych, patrzyły jakieś zamierzchłe, surowe twarze.

Zapewne święci Patronowie tej świątyni wznosili fanatyczne, opalone w słońcu, pokurczone ręce

¹⁾ Mam na myśli oczywiście, jeno dzieła sztuki, jako takie.

ku sklepieniu, Boga wzywając na świadka swego odwiecznego rozpamiętywania.

Cichutko choworzyły modlitwę białe panienki brzoźowe, długie rapcie bładozielonych szat na wiatr lekkomyślnie puszczające — takie dziewczynskie w swoim wdzięku!

Na lśniącym postumencie płasko się rozkładających paproci, ponure kolumny jodeł, u nasady ciemne jak noc, rozświecały się u góry pobladała kora, glorią intensywną, tak, że wyglądały w dzień najciemniejszy niby słońcem u szczytu oblane. Podobne byy grzesznej, rozpacznej modlitwie, która poczęta w mroku i zwątpieniu, kończy się hymnem zachwytu.

Węzowe bicze młodych, arystokratycznych jesionów, naganiały je trzpiotowato: młódź rycerska, pełna suchwałości i pustoty, pobłażliwie pilnowana przez stare graby, o głębokich, zadumanych szkarpach i rozdarciach w sędziwym cielsku. Adamasze, dobrzemienne pany!

Pośród kadzielniczego, pieprznego, rdestowego zapachu, wybijały się inne czasami, samodzielne wonie i smaki, które łowiła łakomymi ustami, rozgniatając na wyczułom podniebieniu: słodki podmuch barci miodowych, mdły i lepki aromat anemonów, stęchły posmak na leśnych czubałkach, gdzie się ścieliły wiekie talerze grzybów, a nadewszystko orzeźwiające tchnienie roziomek — pogubione w świątyni koralowe ziarnka różańców.

Jakież to duchniczki świątobliwe przebierały owe ziarnka i kiedy, wyciskając z nich nabożny sok zdrowasiek? Gdzie się łańcuszki nieodzowne zapodziały, spajające ongiś te ziarnka w jeden nanizany sznur?

Oto leży tam jeden, jak wąż na zielonej wodzie, w srebrze cały wyrobiony — pewnie ten — klamerka zagubionych po całym kościele koralu. A wzdłuż i wzdłuż kościoła te ścieżki udeptanych, tyle nacechtanych śladów stópek malutkich ledwo się złobiających w miękkiej podściółce czerwotoczyny.

Chyba zwidy chodziły, duchy, krasnoludki, bo żadne stworzenie inne nie mogło stąpać tak lekko.

Organy były też w tym kościele.

Hukały czasem impetem nahl-nym: wilgotny podmuch bił z pisch-załek o niewzruszoną ścianę boru, jak ton jedyny, sprzeciw brutalny, bluźnierstwo niepo czytane, obraza Wiekuistego... to daleka rzeka gór-ska zmywała barwę z aromatów, widzeń i smaków leśnych.

Niby wielką, ryżową szczotką przeciągał stary kolos-zakrystjan po listowiu, wycierając dokładnie całą ziemską treść życia leśnego. Po takiej burzy, po takim zawo-laniu, po takim wichrze od rzeki, stawał się las jakiś już zaziemski, nierzecywisty.

Mnogonurtna rzeka panowała niepodzielnie wtedy. Szumiała, parskała, wtórowała wichrom, zie-lona i zła.

Skały gipsowe, śnieżne koronki na przyszwie boru, czy też raczej bestje obleśne, wyszczerzały kły ku szumiącemu sierpowi rzecznemu, podobne do owych strasz-deł średniowiecznych, które ręką człowieka rzeźbiła pamięć o Grzechu. Pamięć, wartująca nawet na gzymsach kaplic naj-swiętszych...

Jak nagle się czyniła wrzawa, tak nagle spadała od czasu do czasu cisza i wtedy wypływał znowu z powrotem, cienką fistułą, po-ćwierk wróbli karnawałowy, klus-kanie dzięciołów, świerkanie jerów i w szuwarach rzecznych dalekie chybotanie metalicznych kaczorów, nieszpór codzienny.

Kraski w nadobnej zbroi latały, niby oderwane od poświęconych drążków, bogato wyszywane, drob-niutkie chorągwie. Zacerwienił się brzuszki gila, zawieszony na ga-łęzi, niby krągłe, rubinowe ser-duszko, jagnusek bezcenny, ex-voto książęce przed niewiadomego świętego szczodroblivością.

Wypalubił czasem na nią ryś, może ostatni ze swego gatunku, iskrzące oczy: dwa okienka na ja-dowicie zieloną przepaść... pewnie szatan, czyhający we wnękach sa-mej cnoty, puszystej i cieplej, na duszę zbłąkaną...

Jakby w zaświecie zaś, daleko, szła się nikłym obrąbkiem mod-rzewiowa cerkiewka, Przemienie-niu Pańskiemu poświęcona z da-wien dawna, ocalała wśród wojny, rozczapierzona na wzgórk, nad bezsłą jej tylko znanych piskląt.

A jeszcze dalej, także przez woj-nenietknięty—zasobny dwór, czwo-rograniasty, siwy, swój i kochany.

Chmura białych gołębi latała wciąż dookoła tego dworu, takim opętany tumultem, że czyniła jego kontury wprost jakby ruchome. Co chwila nikł pod powłoką pierzastego gradu jakiś wybitny szczegół.

Święta Anna starodawna, Samo-

trzecia, odganiała się pośrodku dziedzińca od tej chmury, bezsku-tecznie. Co chwila wyłaniała się z zadymki śnieżnej jej groźna, ba-niasta korona, lub ręka, zagarnia-jąca sztywną panienkę, obok niej uciosa. Czasami wynurzała się nieproporcjonalna głowa patriarchy Joachima, z brodą tak roztarganą, jakby wszystkie wichry lądowe i morskie dmuchały nieprzerwanie w jej kosmyki, jakby wszystkie ka-taklizmy przebytej wojny w nią specjalnie celowały. I znowu wszystko nikło pod pokojową na-pastliwością ptaków, a wtedy tylko sterczał w podwórzu wielki, z lekka ruchomy, chochołaty szczyt: ta właśnie osręzała mogiłka, a na niej niewielki krzyżyk, ozdoba ba-niastej korony.

— Nie wdzięczniejszeż to od człowieka, z którego soki pije? mówiła do przyjaciela, zatrzymu-jąc się nad świeżym, wojennym grobem samotnym i kładąc rękę na kosmatej łodydze smagliczki. Z czego wyrosła ta smagliczka? Z jego zapomnianego, żołnierskie-go serca wdziękiem? a może z jego ostatniem westchnieniem tchórz-liwem? może z jego jelit pustych fetorem? może pianą z jego bez-potrzebnego mózgu? może zakłę-ciem z jego dwojga rąk, złożonych przymusem, czy potrzebą przed-śmiertnej, zdesperowanej modlitwy? Powiedz, przyjacielu — a może tylko śniedzią z jego bezużytecznego, rycerskiego oręża.

Rozgarniała cienkimi, rasowemi palcami czuprynkę kwiatu płową, jakby szukała w niej tajemnic po-częcia i bytu.

Poprzez murawę, igliwie i zie-mię, poprzez elastyczną warstwę czerwotoczyny, widziała doskonale ów podglebny świat: zgnilca, w któ-rym tonął korzeń tej radosnej, pło-wej drabinki.

Robactwo gmerało wzdłuż gniją-cych ochłapów, odpoczywało na oczyszczonych już, gołeniovych kościach, a o mundur żołnierski niewzruszony, o ten niezardzewny miecz rycerski, było taranem nie-strudzonych, smrodliwych łebków i toczyło przebrzmiałe istnienie ludzkie, wolno, niezmordowanie, nieustępliwie — niezawodnie.

Zaś właśnie wprost z tej okrop-ności i unicestwienia, wyrastał zie-lony, kosmaty płomyk, biegnący wzwyż klinem, wskroś murawy, mchu i igliwia ku słońcu: malutka, radosna, płowa drabinka.

Jeżeli istniała mowa kwiatów — jakież wyraz najśłodszy chciał ten żołnierz nieznaną przesłać żyjącym? jaką rzucić skargę? jaki pocałunek złożyć najwierniejszemu na od-biegłych ustach, na skosztowanych już raz, kochanych ustach?

Tyle kiełkowało radości i tkli-wości na owej garstce zlekcewa-żonego smutku!

— Patrz, drogi! ile taka ledwo-znaczna kruszyna ma sił przeciw złości człowieka. Przetapia w so-bie jego jad na miód najśłodszy, jego wozgrzywność na radość i woń. Naprawia świat ta odro-bina, bo kiedy po raz wtóry rozkła-dać się przyjdzie człowiekowi w niej, później, czasu śmierci kwia-tów leśnych, rozkładać się już będzie nie gnojem i fetorem, lecz miłym, smutnym, usypiającym za-pachem zeszcłej rośliny. Któżby pomyślał, że takie nic, jest wyba-wieniem i oczyszczeniem? że takie nic poprawia błędy i pomyłki bogów.

Czy myślisz, przyjacielu, że czło-wiek istotnie zabija? Może tylko daje początek jakiejś pogrobnej roślince, tak wdzięcznej jak ta i równie ważnej jak człowiek? Może wszystko służy życiu i ni-czemu więcej, nawet śmierć, bo czy chcesz, czy nie chcesz, to każdy oddech twój, każdy krok zabija ja-kieś istnienie, prawdopodobnie tak samo wartościowe jak twoje... jak myślisz?

— Jak myślę? Myślę, że znie-chęca cokolwiek do życia pewnik, iż ono na grzędawisku śmierci stoi uśmiechnięte niewinnie.

— Dlaczego, drogi? Bierzmy je, jakie jest: piękne ponad wszystko, jak szyba, na której inny, krwawy mróz, pisze gwiazdy i kwiaty. Pa-miętasz, jakeśmy ratowali czarow-nicę Małankę z rąk doraźnego chłopskiego sądu. Taka była już obdarta, ocądrana błotem i krwią, kiedy jej ostatni strzęp z sukni zdarli — pamiętasz jaka cudna stanęła nad rzeką? Tętniała cała rozkoszą gniewu i lęku. Pamię-tasz przyjacielu? Otóż takim sa-mem jest życie.

— Cóż z tego, nie uratowaliśmy Małanki.

— Myśmy wszyscy mordercy przyjacielu...

Nachyleni nad zapomnianym grobem, dostrzegli mnóstwo ma-leńkich, czarnych kropek, rozsy-panych gęsto po igliwiu i murawie. Zaschnięte, mikroskopijne, czarne kropki.

— Widzisz, droga? Rozkopano tu mrowisko wtedy, kiedy tego żołnierza oddawano ziemi. Patrz, ile zabitych mrówek, wgnięcionych butami i rydlami. Tak wygląda jakby przetrzęsiono coś znanego przez sito i oto z tej wielkości przesianej, malutkie otręby.

Nie zabawneż to, kochanie, że z rzeczy tak olbrzymiej, tak okrutnej i straszliwej, jak wojna, zostają takie malutkie październiki...? (c. d. n.)

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

4

ZATRZYMANY ZEGAR

(p o w i e ś ć)

— A ja znów „straszecznie“ lubię miasto! — przyznała się otwarcie moja Eleonora, — Tylko że w mieście życie drogie, a nam tak podle płacą... Powiedzieć prawdę, nie ruszyłabym się z Wilna, gdyby nie to. Ale cóż — trzeba żyć! Niech pani chociaż opowie, jak tu się żyje? Ludzie choć są jacy mili?

— Ludzie? Ano, tacy, jak wszędzie. Lepsi i gorsi. Rozmaici: jest proboszcz, jest wikary, są ci dwaj nasi koledzy ze starszych oddziałów, przecież ich pani poznała. Jest burmistrz, mój gospodarz, — ogromnie zacny człowiek. Są wreszcie urzędnicy gminy, kierownik poczty. Jest pan aptekarz z żoną i felczer, żyd. To już chyba wszyscy. A pani o kogo pytała?

— Ja? — uśmiechnęła się blado z poza naturalnych rumieńców panna Leonka — Sąsiedztwo czy jest jakie niedaleko? Dwory?

— Dwory? Ach, naturalnie, są dwory, chociaż nieliczne. Daleko — niedaleko, ale są. Zobaczy pani w niedzielę na sumie wszystkich naszych sąsiadów. Schodzą się niektórzy u księdza na herbatkę, po mszy. Teraz tu zupełnie inaczej, niż kiedyś bywało... Ubyło wielu ludzi... Jednych zmiotła zawierucha wojenna, zagnała hen, w dalekie kraje, a drugich poprostu zabrała śmierć. Ot, jak to zawsze...

— To pani chyba te strony dobrze zna?

— Zawsze się człowiek powinien zaprzyjaźnić z kątem, w którym mu żyć wypadło. A ja te okolice pamiętam z dawniejszych czasów. Mówiłam już pani — stara jestem.

Panna Leonka potrząsnęła głową.

— Pani to się chyba umyślnie na komplement naraża... Przecież pani może mieć najwyżej... no... trzydzieści lat?

— Każdy człowiek ma tyle lat. ile ich czuje na barkach, panno Leonciu.

— To i prawda! — odparła reżolutnie, poprawiając filuterny kosmyk włosów, opadający na czoło. Ale pani jest smutna. Szkoda... — szepnęła, jakby do siebie.

I patrząc w zalane deszczem szyby okienne, dodała z melancholją:

— Tutaj wogóle musi być smutno i nudno. Ludzie tacy jacyś... bo ja wiem? Ciężko się przyjdzie wypokutować przez zimę, nim człowiek tych wakacyj doczeka... Niech pani

choć raz pozwoli, że ja tu czasem wpadnę, ot, pogawędzić chwilkę. Na tej plebanji trudno wytrzymać. Siostra proboszcza głucha, jak pień, nawet dogadać się z nią nie można...

VI

Czy tu naprawdę nudno i smutno, a ludzie „tacy jacyś“, jak mówi panna Leonka?

Złapałam się dziś na gorącym uczynku tak głębokiego obcowania w świecie nierealnym, że nie dziw, iż sobie niejasne, zupełnie błędne pojęcie tworzę o życiu istotnym.

Znowu uległam pokusie, znowu zawędrowałam do Klimontowic i wałęsałam się kilka godzin po pustym parku. Skorzystałam, że to niedziela, że lekcji niema, że panna Leonka udała się z wizytą do aptekarskiej, że nikt nie będzie poszukiwał mojego towarzystwa, więc będę mogła przepędzić to popołudnie w cudownej ciszy, sama sam z myślami.

I stało się. Opadły mię wspomnienia żarłoczną zgrają, wpiły się w duszę, wessały w nią, przysłoniły mi sobą horyzont.

Zaczęło się od rzeczy napozór drobnej, lecz była ona tym startem, od którego pomknęły myśli w szalonym wyścigu aż do najdalszej mety, aż do dziecinnych lat... Oto znalazłam ścieżkę, tę krętą ścieżkę, opasującą najpierw mały stawek zielony, a potem wijącą się skroś trawników, pomiędzy kępami bzu, między klonami, dalej przez sad, dalej przez łąkę, w dół, aż ku rzeczce, skrytej wśród olch wysmukłych.

Ścieżkę tę raczej przeczułam, niż odnalazłam, tak ją zarosły napastliwe zielska. W jakiejś chwili, brnąc pośród ostów, przystanęłam, tknięta żywym przypomnieniem. To tutaj, tak tutaj właśnie Adaś wynalazł gniazdo trzmiela. Rozdłubał patykiem niewielką kulę splątanych pakuł, igliwia i uschłych trawek, a stamtąd z groźnym brzęczeniem wyfrunął ciężko potwór o lśniących skrzydełkach i grubym odwłoku.

Jakże się bałam! Przypadłam ze strachu do ziemi i zasłaniając się rękoma, błagałam piskliwym głosem Adasia, aby odpędził trzmiela. Śmiał się z mojego popłochu i długo, długo jeszcze przeżywał Panna Tchórznicą.

Wzdłuż tej samej ścieżki Emilka zrywała pęki narcyzów, by niemi przystroić mieszkanie na swój ślub... Pomagałam jej wówczas, dźwigając z wysiłkiem całe naczynie kwiatów, cudownie pachnących i białych.

— A jak wyjadę, będziesz o mnie pamiętać, Krysiu? — mówiła Emilka, śmiejące się szczęściem usta chowając w bukiet narcyzów.

— Jak Emilka wyjedzie, to będę pamiętać... — powtarzało, niby papuzka, małe stworzonko w perkalowej sukience i pasiastym fartusku.

Ślub Emilki Klimontowskiej odbył się w czerwcu, drugiego czerwca. Mniej więcej pół roku przedtem przyjechałyśmy z mamą do Klimontowic na stałe. Była to ciężka ofiara ze strony biednej mamy. Ciotka Eufemja nie odznaczała się słodyczą, a już specjalnie nad mamą znęcała się po prostu, wyzyskując prawa najbliższej krewnej i dobrodziejki.

— Było ci wychodzić za tego twego malarza, rzeźbiarza, czy jak mu tam. Masz teraz, czegoś chciała. Jak kto sobie pościeli, tak się wyśpi. Gwizdał, świstał, aż ci wyświślał piękny los! Jeszcze ci nicpoń pewnie suchoty w spadku zostawił, prócz tego fąfla, któryby koszuli całej na grzbiecie nie miał gdyby nie ja!

Gruba laska z orzecha stukała o podłogę w takt oburkliwych słów. Siedząc na niskim stołeczku, zajęta rozplątaniem nici, przenosiłam kolejno wzrok z gniewnego oblicza starej damy na białą, jak kreda, twarz matki. Biedaczka schylała głowę nisko, by ukryć łzy, ale wielkie ich krople spadały raz po raz na cienkie płótno wyprawnej bielizny, którą szyła właśnie dla Emilki.

Eufemja nie dała się udobruchać tem pokornem milczeniem.

— Oto to! Becz teraz! — ciągnęła niemilosierdzie, drepzczą tłustymi stopami w rannych pantoflach i wystukując laską jeszcze zawzięciej — Niewsmak ci słowa prawdy! Słodsze były androny, które ci ten gagatek w uszko prawili: A moja Helciu, a moje złotko, a tiu tiu tiu, a tia tia tia... Już ja ci pewnie takich czułości mówić nie będę, ale przynajmniej chleb daję tobie i twojej małej. Byłaby

głodem przymarła z łaski kochanego ojczulka!

A w chwilę potem:

— I po co ty te swoje oczy wypłakujesz, chciałabym wiedzieć? Leżeć, Acan! — burknęła nagle na mopsa, który łąził za nią krok w krok, sapiąc astmatycznie — Stało się, no, stało się, powiadam! Przeniósł się do wieczności, świeć Panie nad jego duszą... Mojem zdaniem to jedno mądrze zrobił, że uczynił to wcześniej, póki ja żyję. Ładniebyś wyglądała za jakich lat, dziesięć, z pięciorgiem dzieci (bo napewno mielibyście z pięcioro!) bez dachu nad głową, bez mojej opieki... Przestańże raz beczeć, nie znoszę tego! Zle ci u mnie? Za uję ci czego? Ot, masz, twoja pociecha jak teraz wygląda! Przyjechało to blade, chude, pożał się Boże... Komu, jak komu, ale tej smarkatej służy chleb klimontowski. Hę, powiedz, mała, dobry tu chlebek? Smakuje ci?

— Smakuje... — odparłam prędko, przestraszona tym nagłym zwrotem ku mnie.

— Ot, widzisz, mała ma rację, — ozwała się znowu do mamy i uderzyła trzy razy łaską w podłogę. — Ja ci powiadam, że mała ma rację. Pogłaskała mnie szorstkim ruchem po głowie i rzekła uprze mnie:

— No to idź do kredensu, niech ci Balbina da miodu na spodeczek. Chleb z miodem jeszcze smaczniejszy, niż suchy, prawda?

— Prawda... — szepnęłam jeszcze ciszej, składając nici do koszyka i wstając posłusznie. Wysunęłam się też natychmiast z pokoju i pędem pobiegłam do Balbiny, ale jeszcze za drzwiami dobiegło mnie gderanie straszliwej cioci:

— Bogu byś lepiej dziękowała, zamiast chlipać....

Biedna moja mama! Dopiero znacznie później zrozumiałam, ile znosiła przykrości, upokorzeń, jedynie przez wzgląd na mnie. Cały, trzyletni jej pobyt w Klimontowcach był jednym pasmem udręczeń, Pomijała milczeniem tysiączne przytyki, zwykły objaw złego humoru ciotki Eufemji, bo jednak u niej, tylko u niej znalazła pomoc i opiekę w chwili, gdy los porzucił ją bezradną i bardzo nieszczęśliwą, w samem sercu wielkiego miasta, pełnego obcych i obojętnych ludzi. „Ciotka rodu“ pomimo wszystkiego, była jedyną istotą bliską i kochała nas po swojemu.

Biedna mama... Trafiliśmy na bardzo zły okres w Klimontowcach. Wkrótce po Nowym Roku Emilka

zaręczyła się, ku zdumieniu wszystkich, ze swoim niedalekim kuzynem, którego znała od najwcześniejszych lat. „Ciotka rodu, na swój sposób kochająca rodzinę i przywiązana równie serdecznie do Emilki, jak do Janusza Klimontowskiego, była przeciwna temu związkowi. Początkowo zagroziła nawet, że wydziedziczy Janusza na korzyść dalszych krewnych, a Emilce, jako niepełnoletniej, przyobiecała, że ją osadzi w klasztorze, aż do chwili, w której „panna nabierze rozumu“ w końcu jednak machnęła ręką, stuknęła łaską i rzekła z gniewem:

— A to sobie róbcie, co chcecie! Pobierzcie się, chociażby jutro! To podobno nawet w modzie teraz łap — cap do ślubu, a potem gwałt o rozwód! Ja umyłam ręce.

Od tej chwili zapanowała wględna cisza w domu, to znaczy, że „ciotka rodu“ nie sprzeciwiała się otwarcie i nie starała się przekonać młodych, natomiast na każdym kroku dogadywała Emilce:

— Panna wybiera się za mąż, a co panna masz w głowie? Fata łaszki. Ty pewnie nawet jajecznicy usmażyć nie potrafisz. Ciekawam, czego was też uczyli w tym Krakowie. Słodkie oczy do chłopców robić? To i tak sama zawsze umiałaś, kochanko. Dobra z ciebie żona będzie dla Janusza! Włosy sobie na czole stroszyć umiesz, że istne paskudztwo, o nawet i nieprzyzwoitość, ale skarpetki zacerować mężowi, to ani — ani, hę?

Emilka najmniej sobie robiła z pogderywania starej, astmatycznej jejmości. Miała tę broń cudowną, ten pancerz czarodziejski, który daleko gorsze ciosy wytrzymać potrafiła: miała młodość. Uśmiechała się z nieopisanym wdziękiem ośmnastoletniej, szczęśliwej

dziewczyny, uśmiechała się beztrosko i głaszcząc ciotkę po tłustych policzkach, mówiła, z przymleniem:

— Ciocia to już mię wcale nie kocha.. Ani odrobinki. Nawet tyle, co Acana... Ejże! Zawsze jestem trochę od Acana ładniejsza i charakter mam przecież lepszy, to ciocia musi przyznać! Ciociu.. ciotuchno! Czy ja naprawdę jestem takie nic — dobrego, gorzej Acana?

— Ty jesteś pustak! Fiu fiu masz w głowie, nic więcej! — mruzczała gniewnie ciotka Eufemja i stukając łaską wychodziła z pokoju, by się przypadkiem nie rozczulić przy świadkach nad tą upartą dziewczyną.

VII

Zabawne to były, choć nie dla wszystkich przyjemne czasy. Wszyscy mieli za swoje, ściślej mówiąc za to, że się Janusz i Emilka postanowili pobrać na wiosnę. Ciotka Eufemja, niezwykle ruchliwa, drepotała ustawicznie po całym domu, łajac każdego o byle drobnostkę. Nawet Acanowi się czasem dostało, że po piętach depcze i suknię pyłkiem oślinia.

Wszystko jej było niewsmak, wszystko złe, na wszystko kręciła głową. Zapowiedziała wprawdzie uroczystie, że o wyprawie słowa słyszeć nie chce, że palcem o palec nie stuknie:

— Niech Emilka sama rozporządza, skoro bez mojej rady, a nawet wbrew radom, rozporządziła już własną przysługą. Żebyście pamiętali, — wołała gniewnie, że ja o niczem nie chcę wiedzieć, co się tu teraz wyrabia! Nic nie wiem, nic nie widzę!

Śliczne, stare koronki, których miała cały stos, schowała w okutym kufrze, zastępującym kasę ogniotrwałą i zamykając z hałasem zardzewiałe wieko, oznajmiła:

— Niech się Emilka nie łudzi, że te koronki odemnie na ślubny prezent dostanie. Miało tak być, ale nie będzie. Zapiszę je w testamencie komu innemu, na przykład Krysi, o ile nauczy się słuchać starszych. Hę, figo, będziesz słuchała ciotki we wszystkim, co?

— Będę... — wyjąkałam, nic zgola nie rozumiejąc.

— No to jazda, ruszaj na podwórze, zdrowszego tam rozumu nabędziesz, niż patrząc na taki rozgardjasz. O Boże, — biadała — spokojnego kąta w domu niema, całe mieszkanie do góry nogami poprzewracali!

(c. d. n.).



ROSSO DI SAN SECONDO*)

MELODJA ZWIĘDŁYCH LIŚCI

(Nokturn romantyczny)

PAN. Oh, jest tyle willi do siebie podobnych... A ja nigdy nie widziałem wazszej.. Ale to samo... to samo.. (*ma nowy atak kaszlu*).

PANIENKA. Pan jest słaby.. pan bardzo słaby.. zawołałam mamy...

PAN. Nie, nie trzeba wołać mamy, nie... (*powstał, aby ją zatrzymać*).

PANI Z MINIATURY (*otwiera drzwi, wołając przyciszonym głosem*). Dziecko moje, co robisz? czekamy... (*widząc obcego*) Oh!...

PANIENKA. Pokój był zajęty, mamó... przez pana... panu zrobiło się słabo...

PAN. *Zwrócił się do ściany na lewo, aby nie widzieć pani, która weszła, ale znalazł się naprzeciw lustra i w nim ją zobaczył, tak jak ona jego spostrzegła w szybie zwierciadła*.

PANIENKA. Panie, niech się pan odwróci! moja mama jest taka dobra... Może byśmy panu w czemś pomogli... Mamó, pan jest bardzo chory. Otóż... możesz go zobaczyć w lustrze...

PANI. (*utkwiliła wzrok w obcego pana w lustrze, rzęsy jej drgają, patrzy znów, zamyka oczy, stania się, potem opanowuje się i szepce*). Tak dziecko moje, zobaczyłam go, widzę go.

Zasłona spada na kilka minut. Gdy się podnosi, PANIENKA O CIEMNYM WAR (OCZU zesła ze sceny. Długie milczenie. Słychać tylko, jak ktoś gra preludjum Szopena, zwane „kropkami deszczu.” Przejedny, siedzący w krześle ma twarz zupełnie prawie zakrytą kołnierzem płaszcza. Oddalona od niego, ukryta w cieniu przez delikatną wstydlivość, jakgdyby unicestwiająca się, jakby będąca głosem tylko i słowem bezcielesnem, PANI Z MINIATURY zaczyna mówić wolno:)

PANI. Zrozumiałam. Ty nie mówisz do mnie, bo obawiasz się, że twoje oczy, wbrew twojej woli, spoczną na mojej twarzy, nie mówisz, bo nie chcesz widzieć mnie... Dlaczego nie chcesz spojrzeć na mnie?... Gdyby to lustro nie miało było litości nademną przedtem, i nie zdradziło Cię nie byłabym dostrzegła twojej twarzy... i być może, ty bylibyś mi pozwolił przystąpić z powrotem próg tego pokoju nie dawszy się poznać... Bylibyś przeżył jedną noc, w pobliżu mojem po raz drugi, nie przywoławszy mnie, nie rzekłszy: „To jestem ja. Ja jestem tu”. (*krótka pauza*) Ty jesteś tu. Po latach tyłu. Raz drugi. Znowu bliski mi. Chciałabym na kolana paść... dziękować Bogu... żeś wrócił tu... choć taką masz bolesną twarz... Dlaczego ja, przez tyle lat pytałam sie-

bie tylko o jedno: czy jeszcze kiedy go zobaczę? Czy może być, ażeby nigdy go nie ujrzała już? ażeby on nie wiedział, co się ze mną stało, co się ze mną dzieje w drodze życia od jego odjazdu, od jego ucieczki... czyż on o niczem nie wie? Nic nie wie o mnie, dla której chwila, gdy mnie w objęciach tulił do serca, była rodziną chwilą? i została we mnie tak żywa, że gdybym potrafiła, powtórzyłabym i ten śpiew skowronków na niebie i ten szelest liści magnolji w alei, wśród bukszpanowych szpalerów i szmer srebrny maleńkiej fontanny, pomiędzy klombami werbeny. (*krótka pauza*). Słyszę jeszcze twe kroki, jakgdybyś przechodził pod murem omszonym; słyszę, jak pod twoimi nogami chrzęszczą opadłe liście, czekam na ciebie, liczę chwile, kiedy zaskrzypi zardzewiała kratka furteczki, przez którą nikt nie wchodzi, tylko ty, czekam cię, ukryta wśród gąszczu w altance... Znam odgłos twych kroków, zapach powietrza, kiedy ty wchodzisz do willi, czuję smak tego kwiatka, który masz w tej chwili w ustach, gryząc łądzkę w zębach... Ale najbardziej czuję bicie twego serca; zanim cię ujrzę, czuję twój oddech, a kiedy nadejdiesz, jestem tylko westchnieniem, tchem, który może wchłonać przez zamknięte usta i unieść z sobą w piersiach. Kiedy się ze mną rozstajesz, nie jestem już istotą, jestem czemś lżejszym od pióra, lekkim, jak nuta piosenki... Tak, wracam do willi... i nie mam już siły nawet, aby obejrzeć się, czuję na sobie twoje spojrzenie, tak, jakbym ja była maleńkim żaglem, a ono powiewem wiatru, który mnie popycha, kieruje, pomaga mi powrócić pomiędzy rzeczy powszednie... towarzyszy mi poza szyby werandy... na schody... aż do tego kąta, gdzie idę się zamknąć, aby nie słyszeć kroków, kroków tego, który zaślubił mnie młodszą i dlatego ma nade mną władzę; kroków sług, głosu rzeczy. (*pauza*) A gdy powiedziano, tego ranka, żeś ty go zabił, tam w sosnowym lasku, poza willą, ponieważ on cię wyzwał, nie wiem sama, co się ze mną dzieje, jęczę, biegnę, rozbijam głowę o drzewa, gubię się wśród ścieżek... Wiem tylko, że dochodzę na miejsce, na plac, otoczony laurem, bukszpanem i ostrężyną, tam gdzie murawa jest jak aksamit gładka, a wysoka pinja rzuca siatkę cieni, i nikogo już tam niema, nikogo, tylko cisza bezbrzeżna i zapach laurów zgniecio-

nych, a na liściach laurowych, splątanych z ostrężyną, naraz widzę, jakby robaczki czerwone, błyszczące w promieniach słońca. To jest krew. krople krwi... Ina około mnie wszystko się robi czerwone. Lasek sosnowy staje w płomieniach... w łunach czerwonych ziemią staje i całe niebo jest czerwone. Nie czuję bólu, serce mi się nie ściska... a tylko obraz twój przed oczyma stoi. Twoja postać, która się oddala po przez te płomienie i ręką znak mi daje, „żegnaj mi, żegnaj na wieki, niepodobna już... Żegnaj mi, żegnaj, miłości moja, ty pieśni mojej duszy...” (*pauza*) Nie chcesz spojrzeć na mnie, dlatego, że po raz drugi wyszłam za mąż? Człowiek dobry, łagodny, uczciwy, najlepszy ojciec dwóch córeczek... on, który pozwolił mi przez lat dwadzieścia zachować tajemnicę mego serca, pozwolił mi z nią żyć... Cóż miałam zrobić? Nie wiedziałam, gdzieś był, zniknął wśród czerwonych płomieni... potem powiedziano mi, żeś poszedł gdzieś na północ... uciekłeś, zniknął mi wśród szronów i śniegów dalekich, nieznanymi krajami... ty sam stałeś się dla mnie jakimś ogromnem, tajemniczem bożyszczem, wznośszącym gdzieś w pustyni lodowej czoło spowite w szare mgły... (*pauza*) Skąd przychodzisz? Gdzie chcesz iść? Dlaczego w twarzy twojej, którą ujrzałam w lustrze taki śmiertelny ból?...

PAN. (*nie zwracając się, głuchym głosem*) Z północy idę... i chcę tylko widzieć słońce na jedną chwilę... Jeśli słońce ukaże się z rana, zobaczę je nad morzem... Jestem bardzo chory... w istocie, jestem już umarłym.

PANI. Nie!

PAN. (*spokojnie*) Tak. (*pauza*) Żyłem tak, jak wyobrażałaś sobie. Spowity i osnutą mgłą. Wszystko wokoło mnie, to mgławice, niepewne kształty mrocznego światła... cienie nie ludzkie, bez kresu, czas, szarość wciąż jedna... monotonna, nieskończona... Wewnątrz mej duszy, promieniejąca jak w szkle soczewki, nasza godzina, godzina młodości naszej, żywa, taka, jakąś wywołała... bardziej żywa... I tak jakby ta soczewka skupiła w sobie wszystkie promienie słońca wówczas, aby mi serce spalić, tak istnienie moje całe, uchwyciwszy się wspomnienia spaliło się, strawiło jak w kręgu ognistym A teraz... wszystko runęło... zgorzało... spopielało... serce nie bije już... Dlatego wróciłem tu, ażeby umrzeć, odetchnąwszy raz jeszcze w słońcu, rzuciwszy mgły, które mi zbędne już.

(krótka pauza, kobieta ma oczy pełne łez: mimowoli wyrwa się z jej piersi szloch) płaczesz?... nie trzeba płakać... nie macie mego wspomnienia, nie przesłaniaj mi soczewki, w której świecą jeszcze żywe barwy. Nie ukazuj mi się odmienną od tej, którą byłeś niegdyś... pozostaw nieskalaną miniatyrę twoją, wyrytą w moim sercu... nie zasuwaj jej innym wizerunkiem...

PANI. Nie, ukrywam się, stanę poza tobą ażebyś mnie nie widział. Może tylko nie pokazując się... Głos mój został ten sam, nieprawdaż?... Powiedz czy głos się nie zmienił, czy mogę mówić?...

PAN. Tak, głos pozostał taki sam. I gdyby tylko o głos chodziło, możnaby rzec, że czas się nie posunął... Ale czas przeszedł przez tyle innych rzeczy...

PANI. Słuchaj mnie, choćby to nawet wysiłkiem było dla ciebie, błagam cię pozwól, abym ci wypowiedziała, co myślę. Może ty nie jesteś tak chory, jak sądzisz...

PAN. (czyni głową lekkki znak przeczenia)

PANI. Może słońce... powietrze nasze... morze... wróci ci trochę sił.

PAN. (powtórnie zaprzecza ruchem głowy)

PANI. Ja wiem... życie nasze... dzieje nasze skończone już. Ale gdybym ci mogła jeszcze, przez czas jakiś, być siostrą miłosierdzia... pielegnować cię... On, który umiał uczcić moją tajemnicę przez tyle lat, pozwoli mi...

PAN. Tak, byłaby to pociecha, gdybyś ty mnie mogła ułożyć, zakotłować, cicho,

cichutko, do trumny... Ale czyż ten litościwy twój gest nie odjąłby mi bolesnej radości ujrzenia w ostatniej chwili, w odblasku soczewki, która się spaliła, naszej alei wśród szpalerów bukszpanu, z maleńką fontanną w głębi... z werandą jak tafla wodna... zobaczyć cię znów taką, jak cię widziałem, jaką zostałeś w moim sercu i jesteś... z tym uśmiechem... i z tym kwiatem w kąciku twego uśmiechu...

PANI. (po pouzie bolesnej:) Zobaczyć cię znów! i tak cię zobaczyć i... nie móc się poruszyć, nie śmieć zrobić kroku, nie zbliżyć się, nie upaść na kolana, nie ucałować twej ręki... nie móc zrobić niczego... ażeby nie zniweczyć twej miłości dla mnie samej... nie zniszczyć...

PAN. (kończąc zdanie) ...życia twoich lat lat dwudziestu... w momencie śmierci mojej...

PANI. (tka. Fortepian, który niedawno ucichł, odzywa się jeszcze. Ktoś gra marsza żałobnego Szopena. Zwolna otwierają się drzwi i ukazuje się PANIENKA O CIEMNYM WARKOCZU.

PANIENKA. (ubrana w suknię matczyną) Mamusi, jak się ma pan? trochę lepiej?...



PAN. (patrząc na nią, olśniony jakby mu się jawiła w glori nadprzyrodzonej) Trochę lepiej, trochę lepiej!.. Jakże wdzięczny jestem tej sukni, przez którą poznałem osoby tak litosne... Nie spodziewałem się znaleźć tu tyle pociechy, i ujrzeć znów zjawisko takie wdzięczne... takie delikatne... takie słodkie...

PANIENKA. Oh, panie, jakże to uprzejmie z pana strony, że będąc tak chorym, takie piękne mówisz mi słowa... Ale pan mówi: znów zobaczyć... Czyż pan mnie już widział dawniej? Sam pan mówi, że to niepodobieństwo... (krótka pauza). Grają... Twoje przyjaciółki czekają na ciebie, mam... Ubrały mnie same w twoją suknię, mówią, że jestem, jak żywy Twój portret, jak ta miniatyra... Teraz czekają świtu, aby pójść na spacer. I ja pójdę z nimi, w twojej sukni, choć... nie modna...

PAN. Zapewne, zapewne — i z kwiatkiem w kąciku ust... Zostań pani, zostań przez chwilę... I ja czekam godziny, w której zawołają mnie, by pójść, by pójść stąd...

PANIENKA. Tak, jeśli mama pozwoli, że stanę tu troszeczkę. Pan mnie tak polubił, dlatego, że panu się zdaje, iż mnie widział raz już... dawno już.

PAN. (mającąc) Widzę cię, widzę znów.

PANI. (z drżeniem i łkaniem, dławiącym gardło). Widzisz, widzisz?... (pauza — ktoś puka trzy razy do drzwi).

Głos służącego — Trzecia godzina.

zasłona. (koniec)

G A M A S T O N

MEKSYKANKA

(z moich szpargałów)

Robiło się już późno; obiad bowiem z czterema wdowami Cligot ciągnął się bardzo długo. Przedstawienie tureckie również sporo czasu zajęło, ale rozmarzenie nie przechodziło. Senora Miguela zaczęła być półsenną, ale mocno amoroso. Zgubiła gdzieś kwiaty i wachlarzyk japoński, po darowany jako reklamę — odwozłem ją przeto do domu.

Nazajutrz spotkaliśmy się dopiero koło 5-ej w Russian Office. Senora Balvanera spóźniła się nieco. Ja piłem herbatę z panią Sawieljewą, emablując ją zawzięcie. Meksykanka wezła, przywitała się impetycznie; — Chieken dał jej cały zwój reklam i cenników w kwestjach interesujących ją na wystawie, — proponowanej herbaty nie przyję-

ła, nawet nie usiadła, papiery zapakowała, podając je mnie, z uprzejmym uśmiechem powiedziała:

— Chodźmy do naszego znajomego Hindusa na tę doskonałą herbatę — i obrzuciła panią Suwieljewę dziwnym spojrzeniem.

— Hm! hm! — pomyślałem — ale poszedłem.

Znów rozkoszowaliśmy się wybornym napojem — a Rei witał nas jak dobrych znajomych, poczem elektryczną łódką popłynęliśmy do „Midway Plaisance“ co dosłownie znaczy „Śródroczne przyjemności.“

Był to oddzielny plac w kształcie wydłużonego prostokąta, wąskim bokiem łączący się z wystawą. Na całej przestrzeni znajdowały się teatry, cyrk, panoramy

i przeróżne zabawy i restauracje. Zaczęliśmy od międzynarodowej wystawy piękności. „International Exhibition of the beauty.“

Przy wejściu dwóch prawdziwych czy imitowanych Szkotów w narodowych strojach z lisiemi ogonami, w bermycach niedźwiedzych na głowie — grało na kobzach. Weszliśmy, jak na arenę cyrkową, tłumnie zajęta przez odwieczających. Od bandy, rozchodzili się segmentalnie duże łoże. W każdej, znajdowała się wystawiana piękność, różnych narodowości. Zamieszkiwana łoża była odpowiednio umeblowana i ozdobiona w należyte narodowe flagi. Najpiękniejszą według nas, była hoża, Morawska Dziewoja, cudna blondyna z olbrzymimi warkocza-

mi, w narodowym stroju w pośród skromnego umeblowania. Drugą Francuzka, paryżanka, w przepięknej Worthowskiej toalecie, misternie uczesana w otoczeniu stylowych mebli, luster i akcesoriów. Dalej, wyróżniała się malutka Japonka o figlarnych oczkach. Porozumieliśmy się wzrokiem z Siemienicznym — zaczął on pokazywać Migueli detale toalety paryżanki, a ja rozpocząłem rozmowę z Japonką, mówiącą wybornie po angielsku. Zaproponowałem jej — żeby po zamknięciu „budy” poszła z nami dwoma na kolację. Spojrzała na mnie badawczo i odrzekła:

— Ponieważ widzę — że panowie są dobrze wychowanymi dżentelmenami, zatem zgadzam się, ale jutro dopiero.

Dostałem od niej jakiś japoński kwiatek o majerankowym zapachu, który mi w tej chwili Miguela odebrała. Niezrażona Japonka podała mi jeszcze dwa, a udając, że rozumiem jej intencje, dałem jeden Siemienicznemu, drugi sobie zatrzymując.

Zbliżyliśmy się do Rosjanki. Uszczęśliwiony Siemieniczny, że widzi swoją rodaczkę w przepięknym, wyszywanym i mereżkowanym stroju narodowym — przywitał ją po rosyjsku:

— Jak się macie rodaczko!

Na co, mocno żydowskim akcentem, odrzekła:

— Witam pana!

Zdziwiony towarzysz zapytał skąd pochodzi.

— Z Odessy. Ale już dwa lata tu jestem i mój szwagier, który ma s'osunki, przez protekcję tu mnie umieścił.

„Piękność” nie była nawet przystojną, ani zgrabną. Miała czerwone o krótkich palcach ręce i bardzo duże stopy. Widocznie nie mogli znaleźć innej kandydatki na rosyjską piękność.

Wnieśliśmy się potem w górne sfery za pomocą uwiecznionego balonu, gdzie w wielkim koszu, kilkanaście osób, bardzo niesfornie się zachowywało. Niektóre panie krzyczały histerycznie, inni znów rozpychali się aby zdobyć lepsze miejsce przy krawędziach kosza.

Następnie zwiedziliśmy cyrk. Arena i korytarz otoczony wysokimi żelaznymi sztachetami. W przedstawieniu brały udział: lwy, tygrysy, lamparty, pantery, niedźwiedzie, puma, wilki, konie, owce, kozy i zające. Wszystko to razem wyprawia przeróżne harce, skoki i gonitwy, kierowane przez trzech poganaczy i dwa wielkie dogi, a żyje w tak miłej, przyjacielskiej zgodzie, jak ongi ich protoplaści w Raju u nóg Adama i Ewy.

Lwy jeżdżą wierzchem na perzszeronach, potem rydwan zaprzężony w dwa lwy objeżdża naokoło arenę i jeden z pogromców, stojąc z wielkim harapem, kieruje wozem, dwa dogi opierając się przednimi łapami o wóz, kroczą na zadnich łapach, a za nimi podąża cała czereda zwierząt.

Niedźwiedź goni kozę, a niedźwiedzia wilk, wilka owca, owcę puma, a za nią zając i tak dalej. Wszystko to mimo pozornej zgody i przyjaźni, jest utrzymane w karności i strachu przez magnetyczny urok pogromców i wielkie charapy, a owe dwa dogi panują nawet nad królami pustyni. Yankesi bawią się tu wyśmianiem, nie tylko śmieją się i klaskają, ale formalnie wyją z radości i rozochocenia. Na tem zakończyliśmy trzeci dzień znajomości.

Przez następne dni, Balvanora częściowo zajmowała się swoją misją, w czym dużo jej dopomógł Chicken, jednak po kilka godzin dziennie spędzała razem z nami. Zwiedzaliśmy wspólnie wystawę, ale przeważnie Midway Plaisance. A więc ulice Kairu, gdzie senora próbowała jazdy na wielbłądzie, lecz skoro zsiadła z tego okrętu pustyni, powiedziała, że już nigdy więcej nie użyje tej zabawy. Tamże zwiedzaliśmy egipski teatr z nieodzownym danse du ventre, potem wenecką miniaturową hutę szklaną, gdzie na poczekaniu wyrabiają i sprzedają przeróżne, dziwkształtne kubeczki i kieliszki. Nudziłem się po kilkanaście minut w chińskim, japońskim i perskim teatrze, a zakończyli w Wigwanach wsi czerwonoskórych. Wstrętny Sambos był cerberem przy wejściu. Pierwszy raz widziałem tego dziwoląga. Sambosy są to mieszańce Murzynów z czerwonoskórymi. Patrząc na nich rodzi się wątpliwość, czy są stworzeni na obraz i podobieństwo boskie. Najwięcej kołtuniasty Polinezyjczyk jest prawie Apollinem w porównaniu z tą pokraką.

Już mieliśmy wyjść, gdy Siemieniczny zwrócił uwagę na mały namiot, w którym pokazywano ludożerców, oryginalnych, prawdziwych, którzy w naszych oczach, rozszarpując, pożera żywe gołębie i króliki. Widocznie w Chicago nie było Tow. Opieki nad Zwierzętami.

— Wstrętne widowisko! — zwróciłem się do senory. Ale ono jej widocznie nie raziło — wszak bywała na walkach byków, które również w Meksyku uprawiają.

Wszystko było dobrze, nawet rzec mogę bardzo dobrze, tylko z jędzeniem niezgoda. Raz zaprowadziłem towarzystwo do Polish

Café, gdzie służba mówiła po polsku i podawała rodzime potrawy. Trzecorzędnego pędzla ks. Józef, Kościuszko i Kiliński, przyglądali się Meksykance, zjadającej polską kielbasę — która choć miała sporo czosnku, nie zadowoliła senory Migueli. Dopiero Chieken sprawę tę wypośredkował — za jego inicjatywą jadaliliśmy w amerykańskiej restauracji, gdzie można było dostać, potraw ogólnoludzkich, i specjalnie meksykańskich.

Towarzystwo Balvanery po tygodniu jednak było uciążliwe i zacząłem nie mieć czasu, trzeba było szczerze zająć się studjami parowozów i mechaniki tak, że dopiero przed wieczorem spotykaliśmy się. Raz Chicken zaprowadził nas na tak oryginalne widowisko, o jakim nie miałem pojęcia i nigdy nawet nie słyszałem.

Weszliśmy do bardzo dużego pokoju, ale drugorzędnego urządzenia. Pośrodku stał mały stolik nad nim wielka lampa z reflektorem, rzucającym światło na dół, a naokoło anfiteatralnie ławki. Zajęliśmy miejsca w pierwszym rzędzie, ciekawi — co zobaczymy. Wkrótce cały anfiteatr wypełnił się publicznością tak mieszaną, że tylko w Ameryce coś podobnego spotkać można: wykwintne damy i Murzyni, czyszczący obuwie na ulicy, nawet spostrzegłem czerwonoskórych w półeuropejskim stroju.

Wszedł Chińczyk o wspaniałym warkoczu i postawił na stolik dużą, białą, porcelanową, bardzo głęboką misę i wpuścił w nią dwa świerszcze, które starały się romantycznie wydostać z więzienia, ale ślizga powierzchnia usuwała się z pod łapek. Na plecach jednego owadu, Chińczyk zrobił małą białą kropkę — poczem zaczął się hałas, nieomal kłótnia i sprzedaż jakichś tykietów. Okazało się — że to totalizator. Nic jeszcze nie rozumiałem. Skoro bilety zostały rozsprzedane i hałas ustał, Chińczyk zaczął drażnić ryżową słomką świerszcze które z zajądlivością rzuciły się na siebie. — Chińczyk przykucnął, aby nie zasłaniać widowiska.

Z miski zaczęły wypyskiwać kawałki odciętych nóg z takim impetem jak wypryskują cząstki twardych paznogi odcinanych szczypcami. Walka była zażarta, lecz bardzo krótko trwała. Zaczął się hałas a nawet wycie widzów. Chińczyk wstał, skostatował wobec świadków śmierć świerszcza z centką — wypłacono totalizatora, podczas czego drugi świerszcz w drgawkach życie zakończył. Chińczyk wygarnął zwłoki, wyrzucił na podłogę, wytarł miskę jedwabnym papierem i wpuścił nowych zapaśników.

Chciałem wyjść z tego wstrętne-
go widowiska, ale senora tak się
zapaliła i ani słuchać o tem nie
chciała. Postawiła na świerszcza
z centką dwa dolary—po kilku mi-
nutach, walka się zakończyła i wy-
płacono jej wygraną. Znudzeni
uprosiliśmy Balvanorę—by naresz-
cie zdecydowała się opuścić zaba-
wę sportową. Było strasznie go-
rąco, więc w kiosku obok Chicken
częstował nas ice soda cream.
Były to lody śmietankowe, roz-
mieszane z mrożoną wodą sodową,
smaku mniej więcej rozbitych my-
dlin, ale że zimne—wypiliśmy.

Obcując z Meksykanką, przycho-
dziła mi na myśl, wyższość du-
chowa naszych rodaczek. Jestem
pewny, że z wielkim trudem zna-
lazłbym inteligentną Polkę, której-
by pożeranie żywcem królików
i walka świerszczy nietylko przy-
padły do gustu — ale podniecały.

Balvanera sprawy swoje podob-
no bardzo pomyślnie zakończyła.
Gdy w wilję jej wyjazdu spotkałem
się z nią, z wielkiem ożywieniem
opowiadała mi dużo, że w pobliżu
jej hotelu chce mi pokazać coś
nadzwyczaj ciekawego.

Wróciliśmy z wystawy dla odmia-
ny statkiem, które ciągle kursują
po Michiganie, ale przyjazd ten nie
przedstawia nic ciekawego. Jedzie
się długo — całą godzinę — za-
miał jak koleją 20 minut.

Ze stacji, znajdującej się naprze-
ciwko mego hotelu, senora zapro-
wadziła mnie na Wobach street,
gdzie na rogu jakiejś przecznicy,
zobaczyłem sklep, rześcicie oświe-
lony i w olbrzymim, jednoszybo-
wym oknie, na obracającej się tar-
czy, siedzącą niewiastę, w bieli ze
złotem, z rozpuszczonymi włosami
nie tylko sięgającymi ziemi, ale le-
żącymi na podłodze.

Sklep był niewielki, wchodziło
się od strony przecznicy i wycho-
dziło na ulicę. Porządku tego pil-
nował barwnie przystrojony Murzyn.
Tłumy cisnęły się do wnętrza i my
poszliśmy za niemi. Za trzema małe-
mi kontuarami—stały sprzedające.
Jedna, jasna blondyna w turkusowej
szacie — Niemka. Druga, szatyna
w różowej — Amerykanka, trze-
cia, Malajka — brunetka w żółtej,
a wszystkie miały rozpuszczone
włosy, sięgające podłogi. Sprzeda-
wały płyn na porost włosów, któ-
rego mała butelka, starannie opa-
kowana, kosztowała dolara. Sprze-
daż odbywała się bardzo pośpiesz-
nie, gdyż kupujący miał tylko tyle
czasu, aby zapłacić i zabrać spra-
wunek — tłum parł go już naprzód.
W głębi sklepu na wzniesieniu, sie-
działa wielkiej urody i wdzięku
kobieta Holenderka w gazowych
draperjach, koloru wody Nilu,
ozdobiona wielobarwnymi świeci-

dłami. Jej olbrzymie włosy o bar-
wie miedzi spływały falisto i
leżały na białym dywanie, a dwie
Murzynki czesały je złocistymi
grzebieniami. Na ścianach, wi-
siały fotografie głów naturalnej
wielkości. rzekomo przed i po uży-
ciu cudownego środka.

Ująłem senorę pod ramię i nie
dałem się wyprzeć tłumowi, dopó-
ki nie obejrzelśmy wszystkiego,
dokumentnie Cudownego płynu —
rozumie się — nie kupiłem, nato-
miast podziwiałem metahumbog
amerykański. Ile czasu, zachodu
i pieniędzy, kosztowało wyszukanie
kobiet z takimi włosami, kobiet, które
by się zgodziły przyjechać do Chi-
cago i spełniać tak uciążliwe obo-
wiązki! Przedsiębiorstwo przynosiło
kolosalne zyski. Tysiące buteleczek
wartości kilku groszy, codziennie
sprzedawano po dwa dolary i to
trwało kilka miesięcy.

Ostatni wieczór spędziliśmy na
Leatire „Auditorium”, zapewne naj-
większym w świecie, mieści bowiem
5.000 widzów. Dawano codzien-
nie sztukę Old Amerika, w kilku-
nastu obrazach, poczynawszy od
przybycia Krzysztofa Kolumba, aż
do Wachingtona i uzyskania nie-
podległości Miejscami bardzo nud-
na, to znów do przesady błazeń-
ska. Zakończenie z gwiazdzystym
sztandarem i hymnem Yankac
Doodle, wywoływało szalony
entuzjazm, wycie publiczności
a nawet strzały na paradysie z pu-
kawek i petard.

Wdowa Cliguot przy kolacji, sło-
dziła nam starą Amerykę.

Nazajutrz senora Balvanera opu-
ściła Chicago, wioząc ukochanemu
mężowi, całą pakę broszur, cenni-
ków, ofert i prób. Dostała odemnie
piękny bukiet i pudło cukrów pa-
ryskich z prośbą o wspomnienie...

Gdy pociąg ruszył, powiedziała mi:
— Me he alegrado mucho de
volver a ver in Mejico a Usted!

* * *

Przeszło ćwierć wieku jednak,
ile razy zaleci mię zapach czosn-
ku (wprawdzie zdarza się to nie-
zmiernie rzadko) staje przedemną
obraz Meksykanki z jej strzelistemi
oczami!..

(koniec)



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



ZBYT WCZESNE MAŁŻEŃSTWA— PRZYCZYNĄ ROZWODÓW

Prasa amerykańska przepełniona
jest obecnie artykułami, świadczą-
cemi o poważnem zaniepokojeniu
opinji publicznej wciąż wzrastającą
plagą rozwodów. Pomiędzy różne-
mi przyczynami, powodującymi to
zjawisko, najpoważniejszą bodaj —
jak twierdzi większość pism —
jest ta, że małżeństwa w Ameryce
zawierane są przeważnie w wieku
zbyt wczesnym.

Ustawodawstwo większości sta-
nów amerykańskich zezwala na za-
wieranie małżeństw w wieku nie-
ledwie dziecięcym, normuje bowiem
dla kobiety wiek ten na lat 12, dla
mężczyzny na lat 14! Oczywiście
małżeństwa, zawierane w tak wczes-
nym wieku są już unikatami, nato-
miast rok 16 ty dla kobiety,
a 18-ty dla mężczyzny jest najpo-
spolitszym wiekiem do wchodzenia
w związki małżeńskie w St. Zjed-
noczonych

Jasne jest, że małżeństwa za-
warte w wieku tak wczesnym, gdy
oboje małżonkowie są jeszcze pra-
wie dziećmi i nie posiadają dostatecz-
nie wyrobionych charakterów,
poglądów na świat ani należytego
rozumienia swych obowiązków —
muszą się w rezultacie kończyć
rozwozem.

Oczywiście, najlepszym środkiem
przeciwko tej plagie rozwodowej
byłoby przeprowadzenie reformy
w ustawodawstwie, zabraniającej
zbyt wczesnych związków małżeń-
skich.

MŁODZIUTKA WYNALAZCZYNI.

Dzienniki paryskie donoszą o nie-
zwykłym wynalazku, dokonanym
przez piętnastoletnią p. Irene Lau-
urent, córkę znanego profesora
chemii w Paryżu. Odkryła ona
mianowicie materiał opałowy, mo-
gący w zupełności zastąpić benzy-
nę w silnikach samochodowych,
a wymagający bardzo niewielkich
kosztów produkcji.

Materiał ten, któremu młoda wy-
nalazczyni nadała nazwę „isoliny”,
odkryty został przez nią zupełnie
przypadkowo. Pomyśl tego odkry-
cia — jak twierdzi p. Laurent —
zawdzięcza ona nietylko swym stud-
jom laboratoryjnym, prowadzonym
zresztą bardzo pilnie pod kierun-

kiem ojca, lecz przypadkowej uwa-
dze tego uczonego pod adresem
jej małego braciszka, zbytnio roz-
miłowanego w łakociach.

Oto mianowicie pewnego wie-
czoru panna Irena, powracająca
właśnie z wykładów, usłyszała jak
ojciec gromił jej braciszka za prze-
jadanie się cukierkami. „Pamiętaj”
mówił, „że cukier, pożyteczny w
małych ilościach, jest szkodliwym,
gdy się go nadużywa, zawiera bo-
wiem sporo węglowodoru.” W tej
chwili — opowiada młoda wynalaz-
czyni — błysnął mi nowy po-
mysł. Wpadłam jak burza do po-
koju, gdzie mieściło się moje pod-
ręczne laboratorium, i zabrałam
się gorączkowo do pracy. Po kil-
ku godzinach próby moje zostały
uwieńczone nadspodziewanym re-
zultatem: udało mi się otrzymać
pewien produkt chemiczny, które-
go dotychczas nie znano i który —
jak się później okazało — był
środkiem, nad odnalezieniem któ-
rego ojciec mój pracował już od-
dawna.

Jakież więc było jego zdziwienie,
gdy nazajutrz przyniosłam mu
otrzymany przez siebie roz-
twór, opowiadając historię jego
powstania! Ojciec nie chciał mi
wierzyć w pierwszej chwili mu-
siałam dopiero przekonać, przera-
biając ponownie przy nim całe do-
świadczenie. Wtedy ogromnie wzru-
szony, uściskał mnie i powiedział,
że jest dumny ze swej małej có-
reczki!

To nie on jednak, ale ja powin-
nam być dumna i szczęśliwa, a na-
dewszystko wdzięczna losowi, że
mi dał takiego ojca. Bez jego po-
mocy i kierownictwa nie udało by
mi się napewno osiągnąć takich
rezultatów. Jemu zawdzięczam nie-
tylko wynalazek obecny, ale i wszy-
stko to, czem jeszcze może kiedyś
będę mogła w przyszłości przyczy-
nić się do wzbogacenia nauki fran-
cuskiej!”

ŚMIAŁE PRZEDSIĘWZIĘCIE

Pani E. Craven, osoba przeszło
pięćdziesięcioletnia, pozazdrościła
podobno laurów słynnej pływaczce
p. Lilijs Hamilton i postanowiła
dokonać czynu, który dotychczas
udał się zaledwie kilku bardzo wy-
trawnym sportsmenom, mianowicie
przepłynąć kanał La Manche.

Przygotowuje się ona już od
dłuższego czasu do tego przedsię-
wzięcia, trenując się codziennie
przez parę godzin w pływaniu bez
względów na pogodę i temperaturę.
Ćwiczeń swych nie przerywała na-
wet w zimie, co powodowało
ogromne zdumienie mieszkańców

miasteczka Weymouth, w obrębie
którego leży domek wytrwałej
amatorki sportu pływackiego.

Miejmy nadzieję, że tyle wysił-
ków nie pójdzie na marne i p.
Craven osiągnie rekord pływacki,
którym dotychczas jeszcze nie mo-
że się poszczycić żadna Europejka.

WARTOŚĆ PRACY DOMOWEJ

Jedno z pism amerykańskich
przeprowadziło wśród swoich czy-
telniczek ankietę na temat: „Ile jest
warta praca domowa zamężnej
kobiety?”

Najciekawszą odpowiedź nade-
szła żona pewnego fermiera, któ-
ra — jak pisze — wyszła przed
30 laty zamąż i przez cały ten
czas dzielnie dopomagała swemu
mężowi, zajmując się gospodarst-
wem i wychowaniem, kilkorga dzieci
Oto jest statystyka jej czynności
domowych, prowadzona, jak wi-
dzimy, nader skrupulatnie:

Przez cały czas swego pożycia
małżeńskiego wykonałam cały szre-
g prac gospodarczych, z których
wyliczę tylko te, co się najczęściej
powtarzały.

Przyrzępiłam i podałam 235,425
porcji obiadowych, upiekłam 33,190
bochenków chleba, 5,930 tortów
i 7,960 placków, usmażyłam 1,550
litrów soku, zrobiłam 5,450 funtów
masła, wychowałam 76.630 kurcząt
i poświęciłam ogółem 36,461 go-
dzin takim czynnościom domowym
jak: sprzątanie, pranie, szycie i ce-
rowanie, gotowanie itd.

Jeśli obliczyć w przybliżeniu war-
tość pieniężną tej pracy, według
najsłabszych norm, płaco-
nych robotnikom niewykwalifikowa-
nym, to wyniesie ona sumę 125,458
dolarów! Oczywiście, nie potrze-
buję chyba dodawać, że nie otrzy-
małam za nią ani centa. Nie prze-
szkadz mi to jednak bynajmniej
i gotowa jestem — o ile mi Pan
Bóg zechce użyć dalej zdrowia
i sił — spędzić drugie 30 lat na
wykonywaniu tych samych czyn-
ności. Kocham nadewszystko mego
męża i moje dzieci i żadna praca,
wykonywana dla nich, nie wydaje
mi się zbyt uciążliwą”.



„NAJNIESZCZĘŚLIWSZA KOBIE- TA NA ŚWIECIE”

Takiem imieniem zwać się chcia-
ła pewna Hiszpanka, Marja Zorilla
Alabar, zmarła niedawno w Madry-
cie.

Pozostawiła ona testament, któ-
rym przekazuje cały swój bardzo
znaczny majątek na cele filantropi-
jne.

Oprócz posiadłości nierucho-
mych, spadek po niej obejmuje
jeszcze zbiór bardzo cennych klej-
notów, wśród których znajdują się
zabytki wysokiej wartości artysty-
cznej, jak np. wielki naszyjnik bry-
lantowy z XVI wieku.

Wszystkie te cenne pamiątki
przekazała p. Alabar komisji egze-
kutorskiej, w skład której mają
wejść różni przedstawiciele władz
duchownych i świeckich.

Jedynym żądaniem pośmiert-
nem zapisodawczyni jest położenie
na jej grobie tablicy marmurowej,
z napisem następującym:

„Tu spoczywa najnieszczęśliw-
sza kobieta na świecie. Żyła sa-
motnie, utraciwszy wszystkich, co
byli drodzy jej sercu. Po cóż świat
ma wiedzieć, jak brzmiało jej imię?
Przechodniu, westchnij za duszę
bezimiennej!”

Z. B.

W Y C H O W A N I E FIZYCZNE I SPORT

KÓŁKA SPORTOWE W SZKOŁACH ŻEŃSKICH.

Dużo się u nas mówi i pisze
o wychowaniu fizycznym w szkole.
Wiele osób rozumie już nawet, że
dziewczętom szczególnie szkoła
właśnie powinna dostarczyć moż-
ności uprawiania ćwiczeń cieles-
nych, gdyż znacznie im trudniej
wobec trybu życia bardziej skrepo-
wanego konwenansami i zajęciami
domowymi znaleźć sposobność do
ruchu niż chłopcom.

Tymczasem, jak się to szkolne
wychowanie przedstawia w rze-
czywistości, wolimy w to nie wcho-
dzić, nie myśleć o tem.

To ważne „wychowanie fizycz-
ne” ogranicza się do obowiązkow-
ych dwóch godzin gimnastyki ty-
godniowo, a te dwie godziny to
naprawdę najwyżej 90 minut,
a zwykle nawet nie całe 90, bo
wziąwszy pod uwagę, że uczennice
muszą się przebrać, często w bar-
dzo niedogodnych warunkach, lub
że muszą przejść na oddalone od
szkoły boisko, pauzy na przygoto-
wanie się do gimnastyki zwykle nie

wystarcza, a godzina szkolna wynosi 45 minut.

Godzin przeznaczonych na teorię wychowania fizycznego, na choćby najogólniejsze zapoznanie się z higieną ćwiczeń gimnastycznych i sportów, z systematyką gimnastyki itp. poza seminarjami, zupełnie niema.

Od dziewcząt, nie rozumiejących potrzeby ćwiczeń ani ich istoty wymaga się potem zainteresowania, gorliwości i zrozumienia potrzeby gimnastyki.

Niewiele bardzo jest szkół żeńskich, gdzie są wprowadzane obowiązkowe poobiednie godziny gier ruchowych.

Jeśli godziny takie są, to naogół dla wszystkich klas równocześnie pod kierunkiem jednej osoby, co powoduje, że dana nauczycielka nie może zająć się należycie uczennicami, nie będąc przecież w stanie prowadzić kilku gier równocześnie..

Czasu na tak zalecane przez nasze Ministerstwo Oświecenia sporty, które figurują w ankietach i kwestionariuszach, które wchodzi w program zawodów szkolnych, zupełnie niema.

A przecież każdy to rozumie, że łatwiej jest obudzić wpraw zapał i zamiłowanie do ruchu przez sporty właśnie, a potem wyrobić zrozumienie potrzeby ćwiczeń cielesnych, niż odwrotnie. Nie można wymagać od młodzieży, żeby nie znając przyjemniejszych, bardziej pociągających dziedzin wychowania fizycznego, oddawała się z zapałem gimnastyce, której znaczenie naprawdę trzeba dobrze rozumieć i doceniać, żeby wiele ćwiczeń nie wydawało się nudnymi i bezcelowymi, żeby nie znużyło wielokrotnie ich powtarzanie.

Zanim będzie możliwe inne postawienie sprawy wychowania fizycznego w naszych programach szkolnych, za jedyny sposób zapobieżenia złu, a raczej za jedyny sposób wprowadzenia pewnej poprawy uważam tworzenie w każdej szkole żeńskiej kółka sportowego.

Mamy tyle kółek: przyrodniczych, historycznych, polonistycznych, etycznych itp. itp. a doprawdy śmiem twierdzić, że we wszystkich tych przedmiotach uczennica zamiłowana może znacznie łatwiej sama rozszerzyć i pogłębić swoje wiadomości ponad wymagany program szkolny najwyższej za pewnymi wskazówkami jednoosobnego nauczyciela, niż to ma miejsce z wychowaniem fizycznym i z uprawianiem sportów.

Wieleż to matek nie pozwala chodzić dziewczynkom samym nawet na ślizgawkę lub saneczki, nie

mówiąc już o sportach, przedstawiających naprawdę pewne ryzyko jak wioślarstwo i pływanie,

Albo czyż można wyobrazić sobie dziewczęta, trenujące się w lekkiej atletyce na jakimś boisku czy w ogrodach Raia same, bez opieki nauczycielki, która często musi nietyle prowadzić ćwiczenia, ile przedewszystkiem bronić uczennic od zaczepki i uwag.

Gdyby były w szkołach dobrze zorganizowane kółka sportowe, do których należałyby bardziej ożywione i lubiące sporty dziewczęta, których, że się tak wyrażę nie trzeba „poganiać“, wystarczyłoby do wielu zabaw i wycieczek obecność którejś z matek czy wychowawczyń, aby im zapewnić opiekę i pomoc; przy sportach lub lekkiej atletyce, które wymagają już fachowego kierunku musiałyby być nauczycielka gimnastyki,

W kółku dziewczęta dzieliłyby się na grupy według sportu czy gry, do których mają zamiłowanie, a więc byłaby np. grupa lekkoatletyczna, pływacka i wioślarska, kolarska itp.

Początkowo niewiele dziewcząt należałoby do każdej grupy, chodziłoby tu więcej o jakość niż o ilość. Później zachęciłyby się i wciągnęły inne za przykładem bardziej zapalonych.

Każda z grup mogłaby się postarać czy z pośród nauczycieli gimnastyki, czy z pośród znajomych sportsmenek czy sportsmenów o odpowiedni kierunek i w ten sposób to, czego nie może dać szkoła, robiłyby uczennice we własnym zakresie.

Prócz samego uprawiania sportów i gimnastyki niezbędne jest, żeby dziewczęta w kółkach zapoznały się trochę i zainteresowały teorią wychowania fizycznego, żeby czytywały choćby czasopisma sportowe, żeby zapoznały się czy to przez wspólne czytanie, czy przez referaty z popularnymi dziełami o wychowaniu fizycznym.

Doniosłym czynnikiem pedagogicznym, rozwijającym samodzielność, koleżeństwo i poczucie odpowiedzialności byłoby, żeby starsze dziewczynki uczyły się prowa-

dzić gry dla młodszych, a także żeby umiały same sędziować przygrach własnych.

Bije wprost w oczy, że gdy chłopcy zostaną wypuszczeni na swobodę, to mimo kłótni i bójek bawią się doskonale. Dziewczęta przeważnie ociągają się, zwłóczą, żadna nie chce się podjąć organizowania zabawy. Jeśli już przyjdzie do gry samodzielnej, przerywają ją zaraz kłótnie, płynące z nieznamośności przepisów.

Zaradziłoby temu kółko sportowe przez przygotowanie wybranych na sędziów dziewcząt, które musiałyby wspólnie zapoznać się z zasadami gier i musiałyby mieć zapewniony bezwarunkowy posłuch.

Do poszczególnych grup sportowych należeć powinny dziewczęta z różnych klas, dobrane tylko według zamiłowań i usprawnienia fizycznego. Przyczyniłoby się to znakomicie do zwalczania tak często w szkołach spotykanych antagonizmów międzyklasowych, wyrobiłoby poczucie równości i życzliwości wobec wszystkich.

Kółka sportowe powinnyby urządzać swoje własne zawody i rozgrywki, być w kontakcie z kółkami innych szkół.

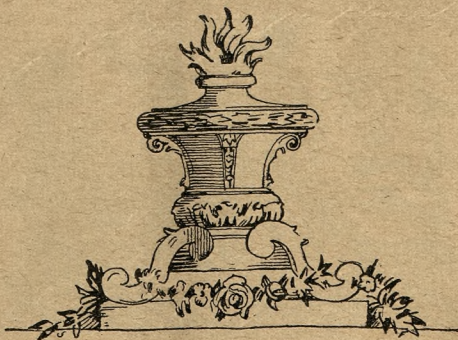
Ważnym zadaniem kółek byłoby urządzanie pieszych wycieczek, które miałyby za zadanie ćwiczenie dziewcząt w umiejętnym chodzeniu.

Inne wycieczki szkolne mijają się przeważnie z tym celem. Jedzie się zwykle koleją czy kolejką, a chodzi się niewiele. Czasem zdarza się przeciwnie, gdy zajdzie potrzeba dostania się do jakiejś dalszej miejscowości, do której niema dojazdu, nawet małe dzieci zmusza się do przejścia kilkunastu kilometrów, a potem zachęca się je jeszcze do gier ruchowych, piłki itp. Nie byłoby to złem, gdyby dzieci te stale odbywały dłuższe marsze, fatalne jest jednak, gdy się weźmie pod uwagę, że wycieczki takie odbywają się najwyżej parę razy do roku, dzieci więc nie są wytrenowane w marszu, zwykle nie mają wygodnego, wypróbowanego obuwia, często są za ciężko ubrane itp.

Wycieczki piesze kółka sportowego miałyby za zadanie stopniowe, systematyczne przyzwyczajanie do dłuższych marszów.

Dlatego poruszyłam sprawę kółek sportowych, że istniejące dotychczas, a znane mi kółka szkół żeńskich ogromnie słabo naogół rozwijają się i działają jakoś w odosobnieniu, nie wiedząc jedne o drugich, choć możnaby uniknąć wielu błędów i wiele rzeczy ułatwić sobie wzajemnie przez wejście w pewne porozumienie.

Z. Ł.



Z REFLEKSYJ NA CZASIE

OBRAZEK Z ŻYCIA.

Dużo się w chwili obecnej mówi o prawach kobiet do pracy. Zbyt mało o kobietach, które muszą pracować, chociaż nie chcą. A nie robi się prawie nic, aby tym najciężej pokrzywdzonym ulżyć. Więc, żeby się dyskusji teoretycznej nie dać zaślepić, spojrzmy życiu prosto w oczy.

Chcąc poprzeć godne uznania cele „Biura pośrednictwa pracy dla matek” przy instytucji „Ratujcie dzieci”, zamówiłam tam praczkę. Kandydatka przyszła w ciągu paru godzin. Wchodzę do kuchni i widzę kobiecinę drobną, wątłą i bardzo wymizerowaną.

— Czyż wy macie siły do takiej ciężkiej pracy? U nas dom liczny, pranie duże.

— Jak muszę, to mam. A cobym robiła z dziećmiakami?

Wdowa, troje dzieci. Pracować musi.

Przychodzi od rana i bierze się do pracy. Już koło południa widzę, że robota idzie niesłychanie wolno i prawie jej nie ubywa. Zwracam na to uwagę, podkreślając, że nie mówię o złej woli, tylko o siłach zbyt słabych do tak ciężkiej pracy.

— Ano, moja pani, cóż zrobić? Nic innego nie umiem, a dzieciaki jeść piszczą. A o swój interes niech się pani nie martwi: ja wiem, że ja wolno robię, ale ja nie pójdę o szóstą, jak insze praczki, tylko będę cały wieczór prac.

Przed siódmą przynoszę jej kolację i pytam:

— A ileż ma wasze najmłodsze dziecko?

— Pół roku tera skończyła.

— I nie karmicie jej?

— A jakżeby? Przecież ja muszę iść pracować.

— Któż jej daje jeść?

— Sąsiadka tam zajrzy. Ona cięcha. Jak dostanie mleka co trzy godziny to i nie krzyczy.

— A zdrowa?

— O, i bardzo. Tylko maleńka i słaba jeszcze: nawet główki nie dźwiga.

— To przynieście ją tutaj jutro. Koniecznie. Ja tego żądam. I wam będzie lżej pracować, patrząc na nią, ja sama będę spokojniejsza. A teraz natychmiast kończcie robotę, zjedzcie i wracajcie do dzieci.

Musiałam wyjść na parę godzin. Po powrocie, koło wpółdoziesiątej, dowiaduję się, że ona jeszcze

pierze. Oburzona, niosę jej do kuchni trochę jedzenia dla dzieci i wyprawiam natychmiast do domu, zapowiadając, żeby koniecznie przyniosła malutką.

Nazajutrz rano wpadają do mnie dzieci zachwycone, bo „praczka przyszła z dzidziusem”. Rzeczywiście na łóżku służącej leży jakieś zawiniątko. Maleństwo śpi. Ładne i miłe, dosyć czyste. Uważając, że przygotowałam już grunt do przyjaznych stosunków — zaczynam indagację:

— A starsza też dziewczynka?

— Nie, chłopak. Trzeci rok ma.

— A najstarsze?

— Tyż chłopak, ale ten już duży, na trzynasty mu idzie.

— Do szkoły chodzi?

— Gdzietam! Moja pani, a któżby go wyżywił? Miejsce ma, chodzi, to se i zarobi. U jednej pani, dentystki, na posługi jest. To i jeść co dostanie i pieniędzy trochę do domu przyniesie.

— Ale, że jeden już duży, a tamto takie malutkie.

— Po prawdzie, moja pani, to ich było więcej, ale trochę dzieci to nam pomarło.

Zdrętwiałam wprost na takie określenie, ale po chwili pytam dalej.

— I na cóż umarły?

— A nacożby? Tak z niczego, maluśkie jeszcze były, po dwa, po trzy tygodnie. Jedno tylko to już miało rok i trzy miesiące, to oczy wypłakiwałam za niem, co się nie namartwiłam.

Zrozumiałam: najczęściej dla matki z proletariatu dziecko zaczyna istnieć dopiero wtedy, kiedy już okazuje pewien rozwój inteligencji. Ona nie czuje, że dziecko parotygodniowe, czy parodniowe posiada już wszystkie przyszłe zdolności i uczucia w stanie potencjalnym. Do jej serca przemówi dopiero uśmiechem, pieszczotą, pocałunkiem.

— A męża kiedyście stracili?

— Będzie osiem miesięcy.

— Chorował długo?

— Wcale. Z wypadku. Przywieźli go połamane do domu i na drugi dzień umarł. To ja myślałam, że zwaruję: głową o ścianę tłukłam. Ale co? Trza było iść roboty szukać, bo dzieci jeść czekały.

— No, a maleństwo?

— Tego dziecka to ja myślałam, że i nie zobaczę, bo ciągle mnie brały spazmy i bóleści. Wkońcu poszłam do szpitala. Dziecko się urodziło zdrowe i ładne, tylko maleńkie i słabiutkie. Tam były takie dobre panie, to ją chciały wziąć na stałe do szpitala. A ja

byłam taka słaba, jak na dziewiąty dzień do domu szłam, że ją i zostawiłam. Ale co pani powie? Nie mogłam żyć bez tego dziecka! Po nocach płakałam i szukałam jej koło siebie. To poszłam i odebrałam. Mówię: zapracuję na tamte, to i na nią zapracuję, a sama ją wychowam i nikt na nią nie powie — podrzutek.

— A czemuż jej nie odnosicie do jakiego żłobka, jak idziecie do roboty?

— Nie przyjmą. Namni musi mieć rok skończony.

— Ale tego dwuletniego przecież przyjmą?

— Chodziłam się starać: przyjmą, ale trzeba przynieść dopiero o dziewiątej a zabrać już o piątej. To może dla jakich urzędniczek dobre, ale żadna kobieta, co chodzi do fabryki, czy na posługi, czy do prania, to przecież nie może. Każda, co musi na ósmą być w robocie, to musi o siódmej dziecko zanieść. A która przed piątą z roboty wychodzi?

Miałam dosyć informacji. Więcej nie wytrzymałyby moje nerwy. Nietyle nawet przejął mnie ten bezmiar nędzy kobiecej, ile ten zupełny, absolutny brak pomocy ze strony społeczeństwa.

Jeżeli przetrwa — to tylko dzięki własnej, niesłychanej odporności. Jeżeli ciągle zmaganie się ze złym losem i nieustanny widok żartych głodem i nędzą dzieci doprowadzi ją do ostateczności — sąd skarże dzieciobójczynię.

Postanowiłam sobie brać ją zawsze do prania, żeby dzielnej kobiecie dać zarobek.

Dziecko było rzeczywiście niezwykle spokojne. Kilkakrotnie napojone przez służącą mlekiem z buteleczki, z której „wyrosła” moja najmłodsza córeczka, spało lub leżało cichutko z otwartymi oczkami. Tym razem przypilnowałam, żeby wróciły do domu wcześniej, zastrzegając znów, by nazajutrz przyniosła też maleńką.

Z przestachem tylko zauważyłam, że pranie, które zwykle trwa dwa dni, nie dobiega jeszcze połowy.

Jednak na drugi dzień przyszła sama, bez dziecka,

— Dlaczego?

— E tam, moja pani, sił nie mam tyli kawał drogi ją nosić. Ręce cały dzień w balji, zmęczone, aż się trzęsą. To tak bolą wieczorem, że, jak ją niesę, to myślę, że rany na nich mam. Ino się boję, że mi z rąk wyleci na ulicę, bo nie postrzymam.

Mówię jej, że jedna pani mi się pytała o praczkę, więc, jeśli bielizna będzie ładna, to ją tam skieruję. Uradowana dziękuje.

— Mój Boże, a toby dopiero było szczęście dla mnie, żebym miała kilka takich stałych gospód, gdzieby mnie zawsze brali. Żeby choć z piętnaście — szesnaście dni mieć zajętych, to jużbym koniec z końcem związała. (Bierze 5 zł. dziennie.)

Więcej już dziecka nie przyniosła.

Reasumuję bez komentarzy:

Biedna kobieta, wdowa od ośmiu miesięcy, z trojgiem dzieci (najmłodsze półroczne), musi, idąc do pracy, dzieci zamykać same w mieszkaniu, bo do żłobka przyjmują najmniej roczne; a zresztą opiekunki schodzą się dopiero o dziewiątej, więc niema kto i starszego chłopca o tej porze odprowadzić. Mimo to musi starać się, żeby tych dni pracy pozadomowej było jak najwięcej, bo inaczej zginą z głodu. Maksimum żądań przedstawia się jako osiemdziesiąt złotych miesięcznie.

A teraz najtragiczniesz strona sytuacji:

Nie mogę jej nic pomóc: Nie dam jej sama pracy, bo mój budżet nie wytrzyma prania, trwającego pięć dni, jeśli normalnie wystarcza dwa.

I nie polecę jej nikomu, bo pierze bardzo brzydko.

Jakże blado wobec takich ran życiowych wyglądają nasze dyskusje na temat uszlachetniającej pracy i cała walka o nasze prawa do niej.

M. Jacuńska

STRZAŁKI

KULT LALEK I... MARTWEJ RĘKI

W salonie pani Isi five poświęteczny. Coraz nowi goście. Jedni wchodzą, inni wychodzą. Pokojówki nie mogą nastarczyć z obnoszeniem herbaty i zabieraniem pustych lub nietkniętych filiżanek.

Ktoś siada do fortepianu. Podobno „Gwiazda,” która nazajutrz ma wystąpić w Filharmonji. Gwar przycicha, lecz po chwili — jak strumień, którego nie można zatrzymać w pędzie, podnosi się cicho, głośnie, coraz głośnie. Gospodyni rzuca błagalne spojrzenia w stronę rozmówców. Na nic. Ludzie jak ptaki — hałas ich podnieca. Wrzawa dochodzi do dziewiątej fali napięcia, gdy „Gwiazda” zrywa się, z pasją odrzuca krzesło od fortepianu i znika w czeluściach przedpokojów. Gospodyni za nim, żeby go przeprosić, ale już pędem biegnie ze schodów.

W buduarze pani domu grupka odludków. Mecenasowa L. po operacji nie znosi

światła, pogaszono więc lampki na stolikach, zostawiono tylko górną ampelę, z której sączy się łagodny, prawie mdły półblask liljowy.

Rozmowa o zimie we Włoszech i Francji. Ktoś odmroził sobie nogi w Neapolu. Kilka rodzin znajomych pochorowało się na ciężką hiszpankę w Nicei, gdzie przez cały luty i marzec były huragany i zimna nie do opisanie. Śnieg sywał w Rzymie, więc uciekano stamtąd coby prędzej.

A w kraju, jak na złość była pogoda: rozkoszne słońce i ciepło. Coś się popsło.

— Pani ma jakie projekty na lato?

— Vichy, a później może Montreux albo francuska Riviera.

— A pan?

Przesypywały się, jak piach w klepsydry, zagraniczne nazwy. Ten radził Ouchy, tamten Dinard. Ktoś projektował spokojne Uriage le Bains z pięknymi spacerami i ślicznym, starym pałacem na wzgórzu.

Jakaś skromniutka panienczka — widocznie zagorzała narodówka — rzuciła nieśmiało:

— Przecież mamy i nasze cudne miejscowości. Nie znam nic piękniejszego nad Beskidy, do których modli się Zegadłowicz i wszystkie „Czartaki...”

Nie zdążyła paść odpowiedź, bo nagle weszła stara pani X. — doktorowa — zawsze pełna nowinek.

— Wiecie państwo, R. zabił się.

— Czy być może? — Wczoraj widziałam go w tramwaju.

— Znalezione go w pokoju z przestrzeloną skronią. Zostawił kartkę: „Ginę, bo muszę zginąć” — Amerykański pojedynek. I o kogo?... O tą lalkę, Wigę, o którą mąż jest tak do szaleństwa zazdrosny. R. żądał rozwodu. Musieli wybierać jeden albo drugi...

— Cóż ona?...

— No, czyż taki ptasi mózg może czegoś chcieć, albo zdecydować się na coś. Dobrze było z tym; najlepiej z obydwojma.

Zginął jeden, przyjdzie drugi. Aby tylko mieć zawsze dwóch, trzech, przy sobie i... męża, który rujnuje się na wszystkie zachcianki...

— Biedny N. Zamęczy się, straci wszystko, aż, gdy zabraknie na suknie z Rue de la Paix i kapelusze od Zérisse'a, laleczka zwieje z tym, co będzie miał na wszystko.

W salonie nagły rumor — wstawanie z krzeseł, suwanie nogami, a potem — do stojna cisza.

Co takiego? .

Stara doktorowa schwyciła face'a main i wygięła się połową korpusu ku drzwiom bawialni.

— No nie, to już doprawdy bezczelność. Ona... Wiga... z mężem... jak gdyby nigdy nic. Niewiniątko. Trochę przybladła. Ale zawsze ten mdły, głupiutki uśmiešek i te czarne oczy — dla mnie bez wyrazu — panowie mówią „tkwi w nich obietnica...” No, wyprawiania na tamten świat. O czym z nią gadają?... Przecież — pcha gałganami, nic jej nie obchodzi...

Powoli wszyscy zbliżyli się ku drzwiom i jedni po drugich znikali za bladoliljową kotarą. W buduarze została tylko pani mecenasowa, nie znosząca światła, żyrandoli i stary profesor, przyjaciel pana domu — etnolog, który przychodził na fivy, żeby odpoczywać po pracy, ale nie lubił gwaru i zaszywał się zawsze w jakiś kąt dziki.

— Pan, panie profesorze, nie ciekawy Wigi? — Te czarne — mówią przepaściste oczy, ale zastygłe, jak u lalki, w dziwnie tępych wyrazie zdumienia czy osłupienia. — Ilniące płowe włosy. Nosek o zawsze różowych nozdrzach i karminowe, trochę podmalowane wargi. Szczupła i przegięta w tył, jak Primavera Botticiego. Ginę za tem panowie. Ale nie słyszałam jej nigdy mówiącej: siedzi, jak świętoszek w kapliczce.

— Czy pani nie wie, że lalki zawsze i wszędzie to fetysze? — A kult bożków — pięknych czy potwornych — z tysiącem głów, rąk, nóg, piersi? Pada i bije pokłony przed nimi tłum wielbiący.

Jest w Afryce plemię arbsko-murzyńskie Dinkasów. Pracują tam tylko kobiety. Mężczyźni polują, ślą, bawią się, robią, co chcą. Każdemu z nich, gdy jest dzieckiem, nakłada się bransoletkę przy zgiciu lewej ręki, nie zdejmując jej nigdy. Chłopak rośnie. Bransoletka wżera się w żywe ciało, tamując dopływ krwi. Ręka sztywnieje i staje się nie do użycia. Otóż w wieku młodzieńczym, gdy budzą się porywy krwi, zwyczaj każe stroić ten martwy organ w różne błyskotki — pierścienie, bransolety, malowanki. Obwiesza się ją amuletami i prezentuje, jak prezentują nasze damy modne kapelusze. Im bardziej przystrojona i bardziej strupieszala, tem więcej szaleją za nią Dinkaski. Mózg męski wysila się więc na obmyślanie coraz nowych ozdób. Walczą o tego truposza amazonki afrykańskie, jak nasi panowie o laleczki z żurnalów.

Czem my się różnimy właściwie od afrykańskich dzikusów?



WIOSENNE UWAGI

Jeżeli człowiek normalny wdycha w ciągu czterech pór roku, to lwia część tych westchnień przypada na porę wiosenną. Jest to zresztą zupełnie słusznie, gdyż, jak twierdzą uczeni, ten sezon właśnie nadaje się świetnie do wydzielania wszelkich niezdrowych waporów, a bakcył westchnienia chętnie solidaryzuje się ze zdaniem uczonych.

Są jednak w tych ewolucjach typowo wiosennych ogromne różnice; inaczej wdycha kucharka, wałkująca ciasto na makaron, inaczej zakochany młodzieniec, a jeszcze inaczej robi to człowiek, którego rozpira jakaś nieuzasadniona szczęśliwość. Jednym słowem, gdyby pewną część tych westchnień zlokalizować i wypuścić na dane hasło, łatwo powstałaby niebezpieczna trąba powietrzna.

Na szczęście ludzie normalni są na tyle przezorni, że zebrawszy się w przyjacielskim kółku wdychają pojedynczo każdy w inną stronę, a już co najwyżej parami i wtedy kierują westchnienia w przestrzeń niebieską, ku drodze mlecznej, albo ku księżycowi. I to nie jest szkodliwe, a nawet bardzo pożyteczne, bo wprawia w szybszy ruch ciała niebieskie, dla których to stanowi łaskotliwą atrakcję.

Wogóle o rodzajach westchnień wiosennych dałoby się wiele powiedzieć; tylko człowiek skłonny do czarnej melancholji wdycha przez cały rok jednakowo. W zimie — dlatego, że to zima, w lecie — że zbliża się jesień, w jesieni martwi się o wiosnę, na wiosnę zaś opadają go już najtragiczniejsze refleksje na temat przednówka. Taki człowiek zamiast poddać się nastrojowi wraz z poetą, co to incognito improwizował jak to;

„słowiczki śpiewają,
ach, jak kocham ja ją..“

i t. d., ogląda się niewiadomo po co poza siebie i wtedy widzi długi, w ślimaku zakręcony ogonek swoich wiosen, które kometowały obiecująco, a potem pokazały figę.

Albo wyszukuje sobie inny powód, aby przez porównanie z przeszłością martwić się na przyszłość np. tem, że kobieta od czasu kilkudziesięciu wiosen ogromnie podupadła na sile fizycznej. Taki człowiek opowiada z podziwem, jak to za jego pamięci dzielna białogłowa dźwigała na sobie 3 bale materji wełnianej, 11 kilogramów jedwabnej, a oprócz tego wiele wszelkiej innej ozdoby!

Swoją drogą musiał to być wspaniały widok, gdy tak ulicami kroczyły, rzekłbyś omnibusy, ba, całe zdobyczne namioty, strojne w piórpusze, okiście wstąg, draperje, flagi, makaty, a całem takim spiętrzonem rusztowaniem poruszała bez wysiłku jedna istota ludzka!



Cóż to musiała być za muskulatura? a jakie uroczyste wrażenie, gdy kilka, lub kilkanaście kobiet przebranych przypuścmy za karuzele zebrało się na pogawędkę?

Istotnie przyznać trzeba, że dzisiejsza kobieta stała się bardzo filigranowa i dlatego zmuszona jest do minimum ograniczać to, co nakłada na siebie, a często musi niestety poświęcać nawet własne włosy, których wcale jej siły już nie są zdolne udźwigać na głowce.

Otóż przewidujący malkontent przejmując się głęboko tak szybkim postępem siły, bo ogarnia go nieprzyzwoita trwoga na myśl, że jak tak dalej pójdzie, to kobieta gotowa ogolić się do łysej skóry, a przyodziewać chyba w powłóczyste spojrzenie omdlewających oczu.

Ale kto by się tam martwił o takie rzeczy w sezonie, kiedy wszystko kipi od niefrasobliwej uciechy i nawet chroniczny zrzęda chwilami wywraca białka w rzewnem rozmarzeniu? Żeby to jeszcze wiosna chciała zdradzić swój sekret wiecznej młodości!... A przecież przyniosłoby jej to bajon-skie dochody, jakich nie doczeka żaden paryski instytut w dobie najświetniejszego rozwoju!

Narazie odmładzanie odbywa się u nas przy pomocy czarnej magji, albo przez używanie kusej sukienki i dzieciennego kapelusika. Niestety, jak dotąd, obie metody często zawodzą i nie można ich stosować nazbyt zapamiętale, jak bowiem wykazały liczne wypadki, niejednokrotnie istota, wypuszczona na wolność (z instytutu odmładzania) była przyczyną płoszenia się lekkomyślnych koni, albo co gorsza nastraszenia się przechodniów, cierpiących nerwowo. Sumiennność sumiennością, ale żadnej, nawet tak szlachetnej idei, jak odmładzanie nie należy propagować zbyt gorliwie, bo tego nie usprawiedliwią nawet wiosenne podrygi.

W. Włodek-Słęk.

DZIEŃ POLSKI

PISMO CODZIENNE

POLITYCZNE, EKONOMICZNE,
SPOŁECZNE I LITERACKIE.

w najszerszym zakresie omawia zagadnienia
gospodarki rolnej.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

WARSZAWA, SZPITALNA 1, TEL. 49-04 i 30 54

Prenumerata miesięczna zł. 3.50.

Na żądanie wysyłamy egzemplarze okazowe.

NAKŁADEM ZWIĄZKU POLSK. NAUCZY-
CIELSTWA SZKÓŁ POWSZECHNYCH
WYCHODZI CO KWARTAŁ

S Z K O Ł A SPECJALNA

czasopismo naukowe

poświęcone sprawom wychowania i naucza-
nia anormalnych (dzieci głuchoniemych,
ociemniałych, przestępczych i upośledzonych
umysłowo).

PRENUMERATA 8 ZŁOTYCH ROCZNIE.

Zamówienia na prenumeratę należy przesłać
do SEKCJI SZKOLNICTWA SPECJALNEGO
Warszawa, ul. Marszałkowska 123.
Konto czekowe № 9.503.

Z KSIĄŻEK

Aurelja Wyleżyńska „Niespłodzianki.” Powieść nagrodzona na konkursie Instytutu Literackiego „Lector,” Lwów — Warszawa — Poznań — Kraków — Lublin.

Książka o kochaniu, tylko o kochaniu Trzech bohaterów, trzy bohaterki. Mają dużo czasu, więc mogą rozprawiać na temat miłości wyłącznej, miłości kochanków i małżonków, zdrady, zazdrości, rozkoszy pierwszego oddania się, rozkoszy odnajdywania w jednym trwałym uczuciu skarbów różnorodnych i t. p.

Przychodzi zagadnienie dziecka. Młody malarz i jego żona kochają się bez pamięci i przez trzy lata żyją tylko dla siebie. Wtem pani Hanka czuje pod sercem tętno obcego życia.

„Jeśli stworzymy coś nowego, a to dawne umrze...”

Dla mężczyzny dziecko jest czemś zewnętrznym, narzuconym, czemś, co może odsunąć od niego żonę — kochankę. I odsuwa.

Hanki myśl, tak obłądnie dotąd wirująca dokoła męża, — zwraca się teraz ku tej tajemnicy w sobie, którą pieści oczyma, ustami, modlitwą, nie znając jej jeszcze.

Malarz — samolub nie może znieść „klina” między sobą a ubóstwianą kobietą. Po urodzeniu dziecka, kiedy już zupełnie przestał mieć żonę „dla siebie,” wyjeżdża. Wraca po otrzymaniu telegramu o śmierci dziecka. Jakie będzie pożytych tych dwojga, rozdzielonych najwstrętniejszą postacią egoizmu, jaka istnieje pod słońcem. Czytelnik sam sobie dośpiewa, w tym punkcie bowiem autorka przerywa opowiadanie o fakcie anormalnym, któremu podobało jej się nadać cechę zjawy powszechnej.

Druga para bohaterów nie męczy się zagadnieniem „klina” małżeńskiego. Pan adwokat, który nie wiadomo po co ożenił się ze śliczną, skromniutką, wiejską panią, zaraz po ślubie bowiem wraca do dawnej swej kochanki, — mało wie o nowonarodzonym jedynaku. Pani adwokatowa, porzucona przez męża, płacze, rozpacza,

REBUS GAMASTONA



Prenumeratorka lub prenumeratorka „Bluszczu”, który pierwszy nadesłał trafne rozwiązanie (data pieczętki pocztowej w miejscu nadania listu) — otrzyma jako nagrodę komplet książek „biblioteki groszowej” Wendege. Termin nadsyłania odpowiedzi upływa z dniem 1 czerwca b. r. Adresować do redakcji „Bluszczu” zaznaczając na kopercie: „Dział Rebusowy”. Pod odpowiedzią napisać wyraźnie nazwisko, imię i adres nadsyłającego.

robi mu wymówki, ale nie znajduje pocieszenia w uroczym maleństwie. Jest raczej kochanką, aniżeli matką. Na świeżość jej i czar niewinności zwraca uwagę jednak piąty bohater powieści: Kto taki? — Pewnie magnat, bo ma czas przez całe dwa lata nie myśleć o czem innym, jak tylko o uwidzieniu słodkiego wiejskiego zjawiska, aby w końcu przybić szczęśliwie do portu.

„Kaźda nowa kobieta odmładza, odświeża, jak burza.” Więc na każdą nową kochankę czekał cały jego dom — światła, kwiaty, alkowy, jedwabne pyjamy, służba dyskretna i — on sam, pogrążony w puchach wzorzystych poduszek na miękkiej otomanie, wczytany w książki o miękkiej oprawie, którą pieścił, jak delikatną pierś kobietą, popijając ulubione swoje greckie wino.

Na jak długo miała odświeżyć go ta miłość? — I to czytelnik sam sobie dopowiedzieć musi. Wyraźnie kończy autorka z jedną tylko bohaterką — majestatyczną

panną Sławą, która zabiła dziecko w swem łonie i czuła się potem zupełnie szczęśliwą, romansując, szalejąc, bywając w t. zw. „dobrych towarzystwach,” t. j. tam, gdzie w gabinetach — separatkach zjawiają się żony legalne, już upatrzone albo skuszone na kochanki i mężowie legalni przy boku tolerowanych przez cnotliwą opinię kochanek.

Sława w wirze mętnego swego życia kochała tylko jednego — tego, który dla odświeżenia się, jak po burzy, potrzebował cudzej żony — skromnej niegdyś, wsiowej panienki. Gdy ją zdobył, rzucił dawne kochanie i wtedy Sława utopiła się z rozpacz.

Zostały więc w końcu tylko dwie bohaterki i dwóch bohaterów — pani adwokatowa w objęciach arbitra elegantiarum, odświeżającego się nową miłością i — pan adwokat w objęciach niepotrzebnie dla żony na krótki czas porzuconej kochanki.

Wszystko w porządku. Sława, odszedłszy, znakomicie ułatwiła klasyczny kadryl małżeński.

Co zostaje po przeczytaniu powieści, napisanej z talentem i barwną lekkością stylu, formy, obrazów?

Przykry niesmak, jak odurzenie po nocej hulance. C. W.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem Instytutu Wydawn. „Biblioteka Polska” ukazały się w druku t. I i II pomnikowego dzieła prof. Al. Brücknera „Dzieje narodowej literatury polskiej.”

Firma wydawnicza „Gebethner i Wolff” drukuje dalsze tomy ogólnego wydania wszystkich pism Wł. St. Reymonta. T. XIII i XIV zawierają dwie części Trylogii „Rok 1794,” „Nil desperandum” i „Insurekcja,” w tomie XV pomieszczono fantastyczną powieść „Wampir.”

Literatura pedagogiczno muzyczna wzbogacona została cenną książką prof. T. Jończyka p. t. „Nowy podręcznik do nauki muzyki w szkołach ogólnie kształcących.”



ŻABOTY

I KAMIZELKI



Zapomniane w ciągu ostatnich lat powracają do mody żaboty i kamizelki. Komu znudziła się prosta, gładka linja przodu obecnych sukien, może je ożywić i przystroić kapryśną falą koronki, lub drobno plisowanego tiulu, albo rozjaśnić białą ka-

mizelką (plastronem) z organdy, szytej w drobne zakładeczki (rys. 1). Żabot w dzisiejszej modzie przybiera najróżniejsze formy; widzimy pas splisowanego tiulu, lub organdy, ściśle otaczający szyję i ujęty w kokardę o dwóch końcach (rys. 2), lub dawny, typowy żabot z batystu lnianego, ułożonego w dwie kon-



2.

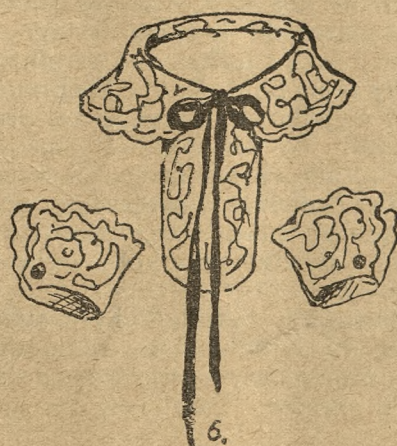


5.

dygnacje i wychodzącego z pod klapki, zamykającej wycięcie sukni (rys. 3).

Angielskie kostjумы wiosenne ożywia fala karbowanej koronki, lub batystu i także falbanki przy rękawach (rys. 4), a do skromnej sukni codziennej ślicznie wygląda

żabot, składający się z dwóch rozrzuconych na boki, a zwężonych ku dołowi falban, które łączy pasek z tegoż co falbany materiału, przybrany drobnymi guziczkami (rys. 5). Bardzo też noszone są kamizelki i mankieciki z koronki, lub gipiury, wykonane z ręcznie kokardą z aksamitki, o długich końcach (rys. 6).



6.

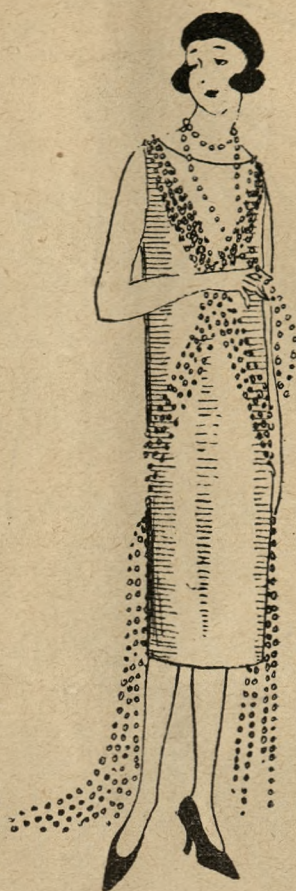
BAL „BIAŁYCH ŁÓŻECZEK“.

Nie wątpię ani na chwilę, że wszelkie objawy paryskiego życia, żywo zajmują Twój umysł, miła Czytelniczko, więc będąc sama pod silnem wrażeniem, nie mogę się oprzeć chęci zdania sprawy chociażby pobieżnie, z tak zwanego „Bal de petits lits blancs“, który odbył się parę dni temu.

Jest to uroczystość wyjątkowo popularna ze względu na cel, do którego dąży instytucja (oeuvre de petits lits blancs).

— Cel piękny i podniosły — niesienie ulgi dzieciom, dotkniętym tuberkulozą. Dochód z zabawy przeznaczają się na powiększenie liczby białych łóżeczek w domu zdrowia, w Bretanii, w tak zwanej miejscowości „Roscoff“, która słynie we Francji ze swojego łagodnego i zdrowego klimatu — to też nic dziwnego, że bal ten, będąc manifestacją arcyhumanitarną i zarazem artystyczną, budzi ogromne zainteresowanie i wywołuje falę współczucia w sercach paryżan i paryżanek. Zaledwie pierwsze odgłosy o nim zjawiają się na szpaltach codziennych pism, już ciekawość podają sobie z ust do ust postanowienie przyjęcia czynnego udziału.

Podwójna uroczystość — dobroczynności i elegancji. Bogactwo bajecznego otoczenia, powódz



1.

świątek, muzyka, nastrój jednym słowem, daje wrażenie przepychu bez miary, któremu zresztą poddajemy się z rozkoszą. Trzeba przyznać, że w tej specjalnej atmosferze, piękno podniesione jest do ideału i że jako takiemu Paryż składa mu tu zasłużone hołdy.

Tu właśnie, na balu „petits lits blancs“ walczą piękne panie o palmę pierwszeństwa w elegancji i wyrafinowaniu; tu wielkie salony mód „lansują“ ostatnie kreacje. Z ogólnego przeglądu można skonstatować fakt, że coraz więcej suknie wieczorowe pozbywają się tej przesadnej prostoty, którą przez długi czas można im było zarzucić.

Stanowczo mniej „robes-chemises“, bardzo krótkich, daleko mniej tych nikłych, skromnych modeli, szumnie noszących nazwę „sukien wieczorowych“ li tylko dlatego, że jasne i lekko haftowane perłkami. Hafty te na balu „Petits lits Blancs“ były wyjątkowe, przepyszne, przebogate. To już nie hafty na jedwabiu, ale wprost feeryczne, kryształowe frendzle, swobodnie spływające po sukni i migające tysiącami świateł dookoła sylwetki (rys. 1).

Nowością również były suknie z trenami, radykalnie różniącymi się od majestatycznego trenu z dawnych czasów. Dzisiejszy tren jak-

kolwiek inny, ma szyć bezsprzeczny. Nie rozkłada się już w królewskich fałdach u stóp nadobnej właścicielki, natomiast tworzy wąski szal, swobodnie spadający ku dołowi i odcinający się, jak wstęga na dywanie. Suknia sama jest krótka, nie za krótka jednak, i w tym właśnie szczególe zawarte jest logiczne rozwiązanie sukni wieczorowej, która musi mieć przede wszystkim pewien majestat — niemożliwy do osiągnięcia przy sukni, kończącej się u kolan (rys. 2).

Dużo tualet z lamy złotej, lub srebrnej, otwierających się na spodach ze złotej gipsy i czarujących wschodnim przepychem. Należy jednak przyznać, że niektóre młodziutkie kobiety w daleko skromniejszych sukniach potrafiły wywołać równie piękny i dystygowany efekt. Parę sukienek białych i szaro-lila, haftowanych złotem, noszone były z wdziękiem prawdziwie arystokratycznym (rys. 3).

Miljonem świateł olśniewała sala wielkiej opery, w religijnym skupieniu podnosiły się i opadały wielkie, lekkie wachlarze ze strusich piór, inne z krwisto czerwonego batiku w oprawie z szyldkretu — wspaniałe, niepokojące..

A wreszcie, bogactwo kwiatów: było to święto kwiatów, kwiaty we włosach, w stanie, na ramionach — kwiaty na bransoletach, na workach, na pantoflach; kwiaty na pysznych futrach... Spadające od



2.



3.

szyi aż na posadzkę, cudne kolory, płatki delikatne, dodawały jednego wdzięku więcej temu jedynemu w swoim rodzaju zebraniu.

A licznym uczestniczkom dostały się wszystkie kwiaty wdzięczności, przesłane przez szczęśliwe, uratowane, młodociane serca dzieci.

Sekwa.

O MODZIE

Przekorna pamięć moja jest niepoprawna i pomimo ustawicznych napomnień, z błogim uśmiechem sięga tych zamierzchłych czasów, kiedy to po pocziwym świecie spacerował sobie beztrudno rodzaj ludzki, podzielony od wiek wieków na dwa zasadnicze rodzaje: żeński i męski. Każdy zaś z tych rodzajów reprezentowany był na zewnątrz nieomylnie strojem i formą. Teraz, pomimo bezustannych ćwiczeń, jakie poświęcam studjom odgadywania płci i wieku u poszczególnych osób, stale ze wstydem konstatuje pomyłkę. Tam bowiem, gdzie okrągłość bioder i biustu akcentuje się pewnym wgłębieniem w pasie—to rodzaj męski; zaś słupki równe, pozbawione wszelkiej atrakcji, poruszający się za pomocą dwóch lasek, wprawionych na wysokości kolana, zaopatrzony parasolem, przypominającym pałkę Madeja—rozbójnika—to kobieta.

Słupki takie, bez różnicy czy jest słupem, czy obcętym obeliskiem, czy pamięta trzynastoletnią wojnę, czy też tylko ostatnią, musi być obowiązkiem u góry nakryty przewróconym moździerzem albo doniczką, oczywiście oklejona należycie aksamitem i przybraną galonem liberyjnym, pamiętającym lepsze zastosowanie.

Wymienione, szczelne nakrycie miejsca, w jakim przeciętny śmiertelnik słusznie spodziewałby się głowy (a co najmniej twarzy) wyklucza wszelką orientację i jeżeli nazbyt upartemu amatorowi uda się po cierpliwem czatowaniu i zręcznych manewrach dotrzeć z właściwej strony do sedna rzeczy, t. j. pod ową przyłbicę, to najwyższym osiągalnym punktem dla nadwyreżonego trudami oka będzie, jaskrawo wymalowana pręga ust i dwa również czerwono lakierowane otwory, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dawne wstydlive dziurki od nosa—obecnie, modą epoki, dostarczające tematu dla pendzelka specjalisty. —

Wyobrażam sobie, jak postępowo delikwentka musi kichać podczas tej operacji

A teraz, niechby wyczerpany od-

gadywaniem rodzajowych łamigłówek badacz spróbował odkryć owe czako, łudząc się naiwnie że uwolniona z przykrego ucisku rozsypie się falą jedwabista pela włosów, ta najcharakterystyczniejsza ozdoba kobiecej głowy... Takiemu radzę raczej zrezygnować z eksperymentu, o ile nie jest rycerzem męznym i na wszystko gotowym, bo to, co wyłoni się z pod naczynia zwanego kapeluszem, może poszukiwacza niezwykłych przygód przyprowadzić—co najmniej—o natychmiastowy odwrót z pozycji. Jeżeli zaś zdoła wycofać się zwycięsko, to po to, aby złożyć uroczyste śluby, iż zaniecha na przyszłość folgowania płochy ciekawości. Prześladować go będzie długo zły koszar, upiorna karykatura tego, do czego przywykło nie zdeprawowane oko.

Na miłosierdzie, Panie, co czynicie?! Opamiętajcie się! Nie modelujcie swoich kształtnych postaci na wzór bezpłciowych przedmiotów jak: rynna, obciągnięta pokrowcem, reklamowe cygaro z nadzysyliu dystrybucji, lub sztorcem postawiony walec do ugniatania kamienia! Nie przeobrażajcie się gremialnie w „garçonów” bez żadnej uwagi, czy której z tem do twarzy, lub nie; bo o ile jednej będzie ładnie, to dziesięć innych przedstawia widok, nasuwający wprost ponure myśli. Jedna wygląda jak druciarz, druga jak dobrze utrzymany pudel a inna wreszcie, jak świeżo z wody wydobyty topielec, któremu łysą czaszkę pociągnięto lakierem na ciemieniu, dodając na skroniach po oszczędnym ornamencie. Voilà—oto ma być głowa kobieca...

W. W. S.

Z ŻYCIA STOLICY

Opowiem Ci dzisiaj, miła Czytelniczko, o uroczystości otwarcia „Klubu Kresowego” i ślicznych tulaletach, jakie tam widziałam. Lubę kresowców za ich wytrwałość, za praktyczną umiejętność przystosowania się do najcięższych warunków życiowych, za nigdy ich nie opuszczający humor i fantazję i za to, że się tak wesoło potrafią bawić.

Tak jest, ci ludzie wyrzuceni z odwiecznych siedzib rodzinnych na bruk warszawski, te kobiety, których wypieszczone ręce nie ulewały się najcięższej roboty, znajdują jeszcze czas i ochotę, aby się bawić—i jak się bawić!

Inauguracyjna zabawa w „Klubie Kresowym” nosiła miano koncertu—rautu, ale tańce były z góry zapowiedziane.

Wszyscy po wielkim poście wypoczęci i stąd nowy impet do zabawy. Nazwa „koncert raut” spowodowała pewne zamieszanie w tulaletach. Bo doprawdy któż potrafi określić tę subtelną różnicę, która dzieli suknię balową od rautowej. Szczęśliwi mężczyźni, w ich strojach wszystko jest określone, ujęte niemal w matematyczne formułki. A my?... To co dla jednej z nas jest najgłębiej sięgającym dekoltem balowym, druga obnosi ze swadą na wszystkie five o'clock'i. Są osoby, które uważają suknie jasne za strojniesze od ciemnych, lecz znam również wiele pań bardzo eleganckich, które na najwytworniejszych balach karnawału zjawiały się w czarnych tulaletach. To też na „koncercie raucie” w „Klubie Kresowym”, były tulalety wyraźnie balowe i suknie wizytowe z kapeluszami, brakowało tylko kostjumu tailleur i codziennej sukienki.

Jedną z najładniejszych tulalet, o charakterze wybitnie rautowym, miała uroczą małżonka prezesa klubu. Fourreau ze srebrzystego adamaszku z szeroką kloszową falbaną poniżej bioder, szal tiulowy z trzech połączonych barw: popielatej, szafiowej i koralowej otulał srebrzystą sylwetkę tworząc niespodziewane efekty kolorystyczne. Szale z kolorowego tiulu są bardzo ładne i twarzowe, nadają sukni miękkość i powiewność, tworząc zarazem nader wdzięczne tło dla twarzy i włosów. Ślicznie wyglądał taki szal barwy płomienia, narzucony na szarą suknię z „m'écor”, haftowaną barwnymi koralkami. A dalej śliczna, czarna suknia z szeroką złotą koronką, czarna georgette, haftowana w dżetowe pasy, brokatela i ninon barwy dojrzałych pomidorów i leciutki biały damassè z szerokim obramowaniem z białego futra u dołu, różowa lama z tiuniką ze srebrnej koronki i tyle innych, ładnych toalet, których właścicielki rozbawione nie siadały ani na chwilę, tańczono do białego rana z taką ochotą, jaką się rzadko spotyka na sztywnych balach warszawskich.

Licznym Czytelniczkom z Kresów polecam gorąco, aby, jak będą w Warszawie, odwiedziły „Klub Kresowy”. Znajdą tam z pewnością liczne grono znajomych i krewnych (wiadomo, że na Kresach wszyscy są ze sobą spokrewnieni) a i niejedna uroczą Warszawianka będzie się z pewnością dobrze czuła w tej miłej, towarzyskiej atmosferze.

W. L.

ARTYSTYCZNE ROBOTY ZE SKÓRY

były przetłuszczone. Najlepsze do roboty są skóry: cielęca, krowia i barania. Krowiej, jako najgrubszej, używa się na większe przedmioty, jak: meble, kuferki, parawany. Z cielęcej i baraniej robi się rzeczy mniejsze: poduszki, woreczki, portmonetki, pudełeczka i t. d. Z tych dwóch skór cielęca jest trwalsza i przyjemniejsza w robocie. Barania, znacznie tańsza, dosyć szybko się wyciera i mniej dobrze się farbuje.

Należy kupować skórę niefarbowaną, wyprawioną na kolor naturalny, ma się wtedy możliwość za barwienia wykonanego przedmiotu według swego upodobania.

Skórę najlepiej kupować na stoły w hurtowych składach, gdzie sprzedają przeważnie całą skórę baranią, lub najmniej pół skóry cielęcej. Trzeba przytem uważać, żeby była bez dziur i skaz, ponieważ w tym wypadku trudno większy przedmiot wykrajać. Brzegi tych skór, zwykle cieńsze i pofalowane, nie nadają się do roboty, ale służą doskonale do wypróbowania narzędzi i kwasów, które się skórę barwi.

Przystępując do roboty, trzeba na początek zaopatrzyć się w następujące rzeczy:

1) Płytką marmurową lub z grubego szkła, wymiaru 30 cm. kwadratowych.

2) tegoż wymiaru deseczka drewniana;

3) narzędzie z agatu lub kości, nie bardzo ostro zakończone, do kalkowania; kupuje się w składach materiałów artystycznych;

4) plastelina;

5) specjalne narzędzie do wytłaczania skóry, o ile możliwości z brązu chromowanego. W braku takich jednak można się zadowolnić narzędziami niklowanymi, używanymi także do metaloplastyki. Narzędzi tych jest b. dużo; wystarczy nam jednak trzy: a) cienkie, zagięte na końcu, b) w kształcie szpachelki, zagiętej na końcu, c) takie same większe. Dostać można w składach materiałów artystycznych.

6) szczypce do dziurkowania; do nabycia w składach przyborów szewskich, lub w składach narzędzi żelaznych;

7) szczypce płaskie różnych rozmiarów do spinania wzoru ze skór.



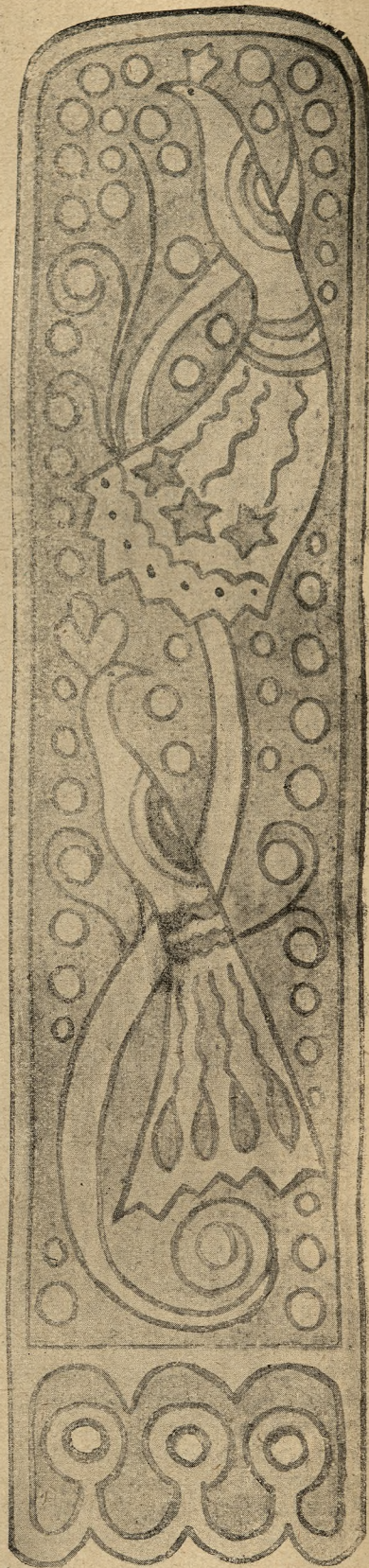
1.

Znając zamiłowanie naszych Czytelników do wszystkich robót artystycznych, postaramy się zapoznać Je z najmodniejszymi rodzajami tych robót.

CHOREOPLASTYKA

I.

Do artystycznych robót nadają się prawie wszystkie skóry glansowane, pod warunkiem, żeby nie



2.

ra; dostaje się w składach materiałów piśmiennych.

Na początek, dla obznajmienia się z materiałem, podajemy bardzo łatwy wzór do wykonania: dwie zakładki. Radzimy użyć do tego skóry baraniej, jako tańszej.

ZAKŁADKA № 1

Wykrajawszy kawałek skóry trochę większy od wzoru, trzeba go dobrze zmoczyć za pomocą gąbki lub tamponu z waty. Następnie na

stronie licowej t.j. świecącej skóry umieścić rysunek, spiawszy go ze skórą u góry płaskimi szczypcami. Umieściwszy całość na płycie marmurowej lub szklanej, przekalkować rysunek, naciskając dosyć mocno, aby się wycisnął na mokrej skórze,—ostrożnie jednak, aby nie podrzeć wzoru, zanim zostanie przeniesiony na skórę. Kalkując podnosić od czasu do czasu papier i sprawdzać, czy wszystkie linie się odznaczają. Po skończeniu zdjęć papier, jeszcze raz zmoczyć skórę nie naciskając i cienkiem, zagiętym narzędziem pogłębić wszystkie kontury rysunku. Wyciąć ostre nożyczkami zakładkę według zewnętrznego konturu, od dołu zaś naciąć frendzlę, kończącą się na linii A—B.

Teraz przystąpimy do zobarwienia.

Przed zabarwieniem trzeba skórę oczyścić, w przeciwnym razie nierówno się zabarwi. Dwie lub trzy krople potażu, wlane do $\frac{1}{2}$ szklanki wody służą do tego celu. Jeszcze raz zmoczyć skórę czystą wodą, poczem nasączyć ją roztworem potażu. Tampon z waty po każdym użyciu kwasów wyrzucać, gdyż umaczamy w innym kwasie, zepsuje go.

Żeby nadać zakładce ładny, popielaty kolor, trzeba rozpuścić w wodzie siarczan żelaza chemicznie czysty aż do nasycenia, i tego roztworu wlać 6 kropeł do $\frac{1}{2}$ szklanki wody. Wilgotną jeszcze robotę wytamponować całą mocno i regularnie.

Do otrzymania jaśniejszego tonu, naznaczonego na wzorze, używa się kwasu szczawikowego. Przyrządza się roztwór nasycony i rozcieńcza się go wodą, poczem za pomocą kawałka waty, nawiniętego na zastrzony patyk, pociera się tym rozcieńczonym kwasem miejsca, które mają być jaśniejsze. Robi się to zanim skóra zdąży obeschnąć.

Zaznaczyć trzeba, że nie wszystkie skóry jednakowo intensywnie dają się zabarwiać. Może się zdarzyć, że na danej skórze 6 kropeł siarczanu żelaza nie dadzą pożądanego koloru, to też każdy roztwór kwasu trzeba wypróbować na kawałku tej samej skóry, z której dany przedmiot jest wykonany. Siarczan żelaza, użyty w większej ilości, daje ton ciemniejszy, aż do czarnego.

Kwas szczawikowy też należy wypróbować. Jeżeli jest za mocny, może podziurawić skórę. Normalnie odbarwia skórę i powraca jej kolor naturalny. Można, umiejętnie manipulując, cieniować nim, odbarwiając mniej i więcej.

Uwagi o wyprobowywaniu kwasów przed użyciem, stosują się do wszystkich kwasów należy więc je zatrzymać dobrze w pamięci, aby nie zniszczyć roboty.

Jeszcze jedna uwaga ogólna: przystępując co barwienia, trzeba wszystkie materiały mieć przygotowane w dostatecznej ilości, ponieważ czyszczenie i barwienie skóry odbywać się musi w szybkim tempie, bez przerw i zawsze na wilgotno, inaczej otrzymamy nierówności. Wogóle barwienie potrzebuje dużej wprawy; nie można też zrażać się pierwszym niepowodzeniem, tembardziej, że w tym razie można uratować sytuację za pomocą np. złocenia, które może nadać charakter bardzo dekoracyjny naszej robocie.

W tym celu nasypuje się do małej buteleczki bronzu złotego w proszku i zawiązuje się otwór muślinem tak przejrystym, aby przy potrząsaniu przepuszczał złoty proszek. Cieniutkim pendzelkiem zapuszcza się w rowki rysunku specjalny werniks do skóry, zwany werniksem zaponowym, i zasypuje się złotym proszkiem, który przywiera w miejscach zapuszczonych werniksem. Resztę się zdmuchuje. Złocić wypadnie częściami, gdyż werniks szybko schnie i trzeba się spieszyć. Złoci się po zupełnem wyschnięciu skóry.

Po skończeniu roboty, dla zabezpieczenia i wzmocnienia skóry, można ją całą pociągnąć werniksem zaponowym. Skóra w tym wypadku pozostaje matowa. Lepszy wygląd nadaje skórze rozpuszczony w benzynie воск, nałożony równo pendzlem. Po wsiąknięciu wosku w skórę, przetrzeć cały przedmiot sukienkiem, co nada mu ładny połysk.

Werniks zaponowy można przyrządzić w domu. W tym celu kupuje się w składzie aptecznym octan amylu, albo aceton; (aceton ma zapach przykrzejszy). W jednym lub drugim rozpuszcza się celluloid tak, aby roztwór był lepki, ale dosyć rzadki. Najlepszy celluloid otrzymać można z zużytych filmów fotograficznych. Żelatynę z powierzchni tych filmów trzeba zmyć gorącą wodą. Otrzymane błonki celluloidowe kraje się w cienkie paski i wpuszcza do butelki z octanem amylu lub acetone.

Po paru godzinach otrzymuje się żądany werniks.

ZAKŁADKA Nr. 2.

Po skalkowaniu i pogłębieniu rysunku w ten sam sposób, co przy zakładce Nr. 1, zakładkę

Nr. 2 można zabarwić na kolor brązowy.

W tym celu bierzemy na pół szklanki wody 10 kropeł potażu i przeciągamy tym roztworem wilgotną zakładkę, poprzednio wypróbawwszy roztwór na kawałku skóry. Jeżeli kolor ok. że się za jasny, można przyrządzić mocniejszy roztwór i jeszcze raz przeciągnąć skórę, zawsze próbując, gdyż zbyt mocny roztwór potażu spali skórę i uczyni ją kruchą. Miejsca jaśniejsze wywabia się kwasem szczawikowym, jak to już opisane zostało przy Nr. 1.

Trzy kółeczka białe u spodu zakładki wycina się na ażur szczypcami do dziurkowania skóry. Można użyć złota, jak w poprzedniej zakładce. Po skończeniu przeciągnąć werniksem zaponowym i zostawić na matowo, lub woskiem z benzyną i przetrzeć sukienem do połysku.

Następnym razem podamy sposób robienia rzeczy trudniejszych i bardziej skomplikowanych. Cz.

ZDOBIENIE BALKONÓW I OKIEN

I.

Zamknięci wśród szarych, twardych murów miejskich, tęsknią ludzie do przyrody żywej i starają się otaczać roślinami. Więc ustawiają „...na oknach doniczki z kwitnącymi ziołkami; geranium, lewkonie, astry i fiołki“... ale gdy tylko mogą — bez względu na zachody dążą do rozszerzania ram swego miniaturowego ogródka. Doskonałą sposobność po temu znajdują, ozdabiając na lato balkony i okna kwiatami.

Umiejętnie przybrany balkon — to nawet wśród wielkomiejskiego gwaru — letni salon, to — jeden pokój więcej w przyciasnem często mieszkaniu, to cały światek odrębnych, szlachetnych wrażeń, oderwania od trosk powszedniego życia, to teren bezpośredniego zetknięcia z przyrodą.

A gdy na sprawę zdobienia balkonów i okien spojrzemy ze stanowiska szerszego, to każdy jej przyzna doniosłą rolę w podnoszeniu wyglądu zewnętrznego całego miasta. Domy, przystrojone zielenią i kwieciami, zatracają brutalną, koszarową sztywność, przestają być dla oka przykrym, zimnym murem, a przeciwnie, nęcą wzrok bogactwem i różnorodnością barw i kształtów.

Zajmijmy się przedewszystkiem przyborami, koniecznymi do ozdoby balkonów i okien.

Wprawdzie na szerokich, kamiennych balustradach, niektórych balkonów możnaby ustawiać zwykłe doniczki z roślinami — nie jest to jednak sposób dobry. Trudno umocować doniczki tak, żeby ich silniejszy wiatr nie przewracał, a nawet nie strącał, zaś mała bryłka ziemi, zawarta w doniczce, zbyt szybko wysycha.

Parowanie wody potęguje się wskutek tego, że glinianą doniczkę silnie nagrzewają promienie słoneczne, a wiatr mający dostęp ze wszystkich stron, przyspiesza wysychanie. Więc nie dość, że częste polewanie przysparzaoby wiele pracy, ale roślina cierpiałaby od ciągłych zmian warunków: wilgoci i suszy.

Lepsze już byłyby obszerniejsze skrzyneczki gliniane, ale i te nagrzewają się zbyt szybko, a rozmiary mają zwykle niewielkie.

Najkorzystniej zatem wypada używać skrzynek drewnianych mierzących w świetle około 20 cm. szerokości i co najmniej tyleż głębokości; skrzynki te nie powinny być zbyt długie, bo krótsze łatwiej dopasować, przenosić i umocowywać na balkonach. Mogą one być umieszczane na płaszczyźnie górnej balustrad kamiennych, bądź zawieszane nazewnątrz u podstawy lub u górnej krawędzi balustrady, bądź ustawiane na podłodze wewnątrz balkonu. To ostatnie najmniej zasługuje na polecenie, gdyż promienie słoneczne nie mogą należycie ogrzewać ziemi. Pod skrzynki, ustawione na podłodze trzeba podkładać listewki, żeby ułatwić odpływ wody.

Jeżeli okna ctwierają się do wewnątrz, to i na parapetach okiennych, albo w umyślnych korytkach spotykanych w nowoczesnych domach można umieścić skrzyneczki drewniane. Na parapetach pochylonych podstawki muszą być ścięte klinowato.

Każda skrzynka musi mieć w dnie powiercone otwory do odpływu wody.

Żeby deski nie gniły zbyt szybko, można je posmarować gorącym roztworem siarczanu miedzi: 250 gr. na 5 litr. wody. Zewnętrzną stronę desek należy powlec najprzód gorącym czystym pokostem, a gdy wyschnie — pokryć dowolnego koloru farbą olejną. Najwłaściwsze są kolory: ciemno zielony, lub obojętne, np. kamienne.

Do wypełnienia skrzynek używać należy ziemi żyznej, kompostowej z dodatkiem przetrawionego nawozu, żeby rośliny znalazły zapas pokarmu na czas dłuższy. Do ziemi świeżej nie zaszkodzi dodać trochę nawozów pomocniczych, a do zużytej, t. j. takiej, która

od roku lub dwóch w skrzynkach pozostaje i zmienić jej nie mamy możliwości — dodatek takiego zasilku jest niezbędny. Zawsze jednak byłoby pożądane dodanie choć części ziemi świeżej, bo zawiera ona próchnicę, ulegającą wypłokaniu z korytek pod wpływem częstego obfitego polewania i rzęsiстых deszczów.

Nawozy pomocnicze (niesłusznie sztucznymi zwane) najłatwiej jest otrzymać w składach nasion i przyborów ogrodnich w postaci gotowych mieszanin. Wystarczy ich dać mniej więcej dobrą łyżkę stołową na garniec ziemi i dokładnie ją z nawozem przerobić.

W następnym numerze zajmiemy się obsadzeniem skrzynek roślinami i pielęgnowaniem ich w ciągu lata. Teraz tylko poświęcimy kilka słów wcześniejszemu przygotowaniu rozsady (brzydko, a niepotrzebnie z niemiecką flancami zwanych) takich roślin, które cierpią od przymrozów wiosennych i wskutek tego mogą być sadzone do skrzynki dopiero po trzech groźnych świętych: Serwacym, Pankracym i Bonifacym, a więc w drugiej połowie maja.

Najwygodniej jest kunić we właściwej porze u ogrodnika rozsady gotowe — ale wypada to dosyć drogo, i wydatek poważniejszy jednorazowy odstrasza wiele osób od ozdabiania balkonów. Tymczasem można jeszcze teraz samemu przygotować roślinki małym kosztem.

W tym celu bierzemy płaskie pudełko od cygar, albo inną podobną skrzyneczkę drewnianą, wiercimy w dnie otwórki do odpływu wody, nakrywamy te dziurki skorupkami, sypiemy podłoże z piasku, a na to warstwę ziemi pulchnej, przesianej z obfitym dodatkiem piasku. Ziemia nie powinna sięgać do brzegów pudełka, bo na kantach wypadnie położyć tafelkę szkła. Do tak przygotowanego pudełka wysiewamy nasionka roślin upatrzonych — bardzo rzadko, żeby sobie wzajemnie we wzroście nie przeszkadzały.

Ziarenka grubsze trzeba zasypać cienką warstwą ziemi, drobne zaś wystarczy przyklepać.

Potem ostrożnie zraszamy powierzchniową wodą, nakrywamy szybą i stawiamy w miejscu ciepłym, choćby nawet ciemnym, dopóki nasionka nie zakiełkują. Wtedy muszą być koniecznie wyniesione na światło.

Jeżeli chcemy uniknąć naruszenia systemu korzeniowego przy przesadzeniu następnie do skrzynek balkonowych to możemy uciec się do innego sposobu.

Bierzemy pchewki od pudełek do zapalek, albo skorupki od jajek,

otwarte tylko z jednego końca, albo wreszcie robimy z papieru aktowego, czy choćby ze starych gazet, złożonych w kilkoro-pudełeczka, otwarte u góry. W dolnym, zamkniętym końcu skorupki od jajek wybijamy otworek, żeby woda mogła tamtędy odciekać.

Przygotowane naczynka ustawiamy ściśle obok siebie w większym pudełku, nasypujemy do nich ziemi i do każdego naczynka wkładamy po jednym, najwyżej po dwa nasionka, a dalej postępujemy z nimi tak samo, jak było opisane z pudełkami siewnymi.

Ostatni sposób nadaje się zwłaszcza do wysiewu roślin o dużych ziarnach nasennych, jak fasola tu-recka bukietowa, nasturcja, groszek wonny i t. p.

Stan. Schönfeld

WINA OWOCOWE

Niesłusznym jest mniemanie, że wina zagraniczne, owe smaczne i drogie wina, o znanych, wszechświatowych markach li tylko z winogron są wyrabiane. Do Bordeaux na przykład, tej ojczyzny najlepszych win czerwonych, szły przed wojną całe pociągi jagód czarnych z czarnolasu (Szwarcwald) w Niemczech, a dzisiaj idą dziesiątki wagonów tych jagód z Polski. Podobno nawet w ogólności dobre wino czerwone, mające charakterystyczną cierpkość i, jak gdyby gęstość w smaku bez dodatku czarnych jagód zrobić się nie da.

W starożytności znano wino z fig i daktyli, z fig podobno wyrabiano tak często w czasach rzymskich wspominane wino cypryjskie. Nie mamy więc żadnych uprzedzeń, co do win owocowych. Kto zresztą zwiedził wystawę win owocowych, otwartą 24. IV r. b. w siedzibie Towarzystwa Ogrodniczego, Bagatela 3, wyżył się stanowczo wszelkich takich uprzedzeń i przekonał się że w smaku i aromacie wina owocowe, gronowym wcale nie ustępują. Już to od dwóch lat tajemnicą poliszynela chyba było, że wszelkie kriuszony i bowle, na balach dobroczynnych i w domach prywatnych w połowie wypadków przynajmniej z rodzimych „Sauterne’ów”, „Barsac’ów” i „Grave’ów” były przyrządzane. Nie chcąc i nie mając nawet prawa robić na tem miejscu reklamy poszczególnym firmom stwierdzić muszę, że w Warszawie najbardziej znane były wyroby „Rektyfikacji Warszawskiej”, L. Karaśińskiego, i M. Trippenbacha. Natomiast na wystawie figuruje około 40 różnych firm, ze wszystkich prawie części Polski, wszystkich wyliczyć

nie sposób. Zapamiętałam po wypróbowaniu wybornych ich wyrobów Kujawską wytwórnię win Henryka Makowskiego w Kruszwicy, „Pomorze” w Chełmży na Pomorzu, Pierwszą Wileńską Spółkę Win i Przetworów Owocowych w Wilnie, (widocznie i ostrzejszy klimat kresów, pozwala dojrzewać owocom zdatnym na wino), i kilka firm z Małopolski. Wszędzie wina były wyborne, czyste w smaku, aromatyczne. Niektóre mi wprost zaimponowały, czerwone wino firmy „Werner i Cyrański” nie widząc przed sobą butelki z krajową etykietką można by wziąć za „Pontet Canet” z dobrego roku, z roku „Komety” — której to ogoniastej wędrownicze Francuzi przypisują własność dobroczynnego wpływu na wina. Tamże próbowałam imitację maślaczki posiadającą „obraczkę”, „myszkę” i wszystkie cechy oryginalnego węgrzyna, — ten gatunek niestety nie jest w handlu, gdyż potrzebuje pięciu lat piwnicy, a wina nasze krajowe przeważnie w pierwszym roku po zbutelkowaniu są wyprzedawane. Smakowo więc wszystko było wspaniałe, gorzej się poczułam, gdy pragnęłam zasięgnąć informacji, co do wyrobu, cen i t. p. Cenników przeważnie nie było, a o meterjałach używanych dawano mi zupełnie wykluczające jedno drugie objaśnienia. Na przykład jeden z wytwórców upewniał, że z jagód tylko biała i czarna porzeczką nadają się na wina, czerwone zaś zdatne tylko na galaretki, że z gruszek tylko ulegałek się używa, wszelkie zaś szlachetne gatunki są do niczego, w innym zaś miejscu, w pawilonie wileńskim, (kresowcy są szczerzy i nigdy nie blagują) dano mi wspaniałe wina gruszkowe, porzeczkowe, agrestowe, jedne smaczniejsze od drugich. Jedne informacje były zgodne, że na szampan najlepszy jest agrest, może jest najlepszy, ale szampan jedyny z win tam próbowanych bardzo i bardzo wiele potrzebuje wydoskonalenia, aby mógł swoich imienników francuskich zastąpić.

Wszystkie wina są tańsze o połowę od francuskich, ale czy to znaczy, że są rzeczywiście tanie. Ceny od dwóch do siedmiu złotych za butelkę są oczywiście uśrednione, jeżeli je porównać z cenami win zagranicznych. Ale wina krajowe, powinny być tak tanie, aby je, jak we Francji, widzieć codzień na każdym stole, aby je mógł pić robotnik zamiast trującej organizmu wódki, inteligent niezamożny zamiast podniecającego, a również trującego likieru, — litr wina musi kosztować jakież czterdzieści — pięćdziesiąt groszy

i może tyle kosztować. Wyrób win owocowych jest obciążony takimi podatkami i opłatami akcyzowymi, że rozwinąć mu się trudniej niż jakimubądź innemu przemysłowi.

Oddzielną wysoką akcyzę płaci się za cukier, oddzielną za spirytus, (do mocniejszych gatunków konieczny,) oddzielną akcyzę pobiera państwo od gotowych już wyrobów, oddzielny podatek municypalny przy sprzedaży detalicznej. Po opłaceniu tylu ciężarów wytwórca jest zmuszony sprzedać wino młode, niewystałe, gdyż nie może na czas dłuższy unieruchamiać włożonego kapitału. A przecież dopiero po kilku latach wytrzymania w piwnicach wino nabiera aromatu, (bukietu), gęstości (obraczki), dopiero po kilku latach cukier się cały przetrawi na alkohol i tylko takie wystałe wina mogłyby skutecznie konkurować z winami francuskimi i węgierskimi, (idącymi obecnie przeważnie przez Rumunię,) — które dzięki traktatom handlowym z temi dwoma państwami zaledwie 10% cła opłacają. Nie możemy zmienić traktatów handlowych, ale jeżeli nasze wołanie o wydawanie pieniędzy tylko w kraju, o kupowanie i używanie li tylko krajowych wyrobów, nie ma być głosem wołającym na puszczę, należy dopomóc krajowym wytwórcom przez zniesienie akcyzy od cukru i spirytusu, używanych na przerób win owocowych i zmniejszyć podatki państwowe i komunalne do takich rozmiarów, aby wszystkie razem nie przenosiłyowych 10% płaconych od win importowanych. Rozwój winiarstwa, ilością wyrobów, opłacających ten jeden tylko podatek napewno po roku wyrówna też pozorny niedobór skarbu. A rozwój winiarstwa to rozwój sadów owocowych, tak ważny w przededniu reformy rolnej, która rozdrobni warsztaty pracy wiejskiej, — to zużytkowanie tych milionów kilogramów odpadków i owoców gorszych zewnętrznie, dziś gniących bezpożytecznie, — to zmniejszenie spożycia trujących

mocnych napoi alkoholowych, wódek i likierów, zmniejszenie importu win zagranicznych, zmniejszenie ucieczki naszego złotego, polepszenie naszego bilansu handlowego, — największej naszej obecnej bolączki. Ameryka, wprowadzając zupełną prohibicję napoi wysokokowych, dowiodła światu, że tego rodzaju prohibicja jest niewykonalna, że dopóki na kuli ziemskiej gdziekolwiek będą wyrabiane spirytualja, za duży pieniądź, zawsze te spirytualja zostaną przeschmuglowane i pijaństwo, droższe od zwykłego lecz równie silnie rozwinięte, będzie zawsze świeciło swe ohydne triumfy.

Podniety ludzie dzisiejsi koniecznie potrzebują. Nestor naszych ogrodników, profesor Edmund Janowski zaczyna swój artykuł o wystawie win owocowych, słowami: „Serce człowieka wino rozwesela” otóż zamiast odurzającej, ogłupiającej wódki dać ludziom to „rozweselające serce” wino. Nie potrafię tu podać dokładnie czemu, lecz ze słów rozmaitych specjalistów, przemawiających jak na wystawie tak i na śniadaniu dla prasy, zrozumiałam, że wina gronowe są szkodliwe dla zdrowia, gdyż zawierają kwas gronowy, który formuje w organizmie sole nierozpuszczalne, natomiast wina owocowe mają tylko kwasy: jabłeczny i cytrynowy, dające połączenie rozpuszczalne, są więc zupełnie nieszkodliwe, dla artretyków, podagryków, — to jest w ogólności dla ludzi starszych, — bo któż dzisiaj nie cierpi na jakąś z tych, lub im pokrewnych dolegliwości.

Na wystawie były reprezentowane wyłącznie tylko duże fabryki i wytwórnie win owocowych, wcale nie było win, wyrabianych po amatorsku, dla siebie lub dla małej sprzedaży w gospodarstwach wiejskich, pragnących korzystniejszej użytkować urodzaj owocu z własnego sadu, nie oddając go w dzierżawę żydom z miasteczek.

Ze takie wina można wyrabiać i że „czasem” się otrzymuje nawet bardzo dobre rezultaty, wiem, bo nieraz takie wina piłam, a nawet sama robić je próbowałam. Niestety w tych amatorskich wyrobach, liczyć się trzeba z tym właśnie „czasem”. Nieznajomość chemii, najnowszych sposobów sterylizacji naczyń, pasteuryzacji, moszczu, stosowania rozmaitych gatunków drożdży winnych, spirytusowania, rozmaitych przemądrych „coupage’y” nadających odpowiedni aromat winom, sprawia często, że cały zapas psuje się, — najczęściej wkrada się fermentacja octowa i zamiast wina mamy beczkę bardzo lekkiego octu, zdatnego

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka,
wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkania 3.

Telefon 102-77.

tylko do barszczu, gdyż do innego użytku nie jest dosyć mocny. Tutaj pomocnem chce być Warszawskie Towarzystwo Ogrodnicze.

Wysyła ono na żądanie wszelkie broszury, tyjące się wyrobu win owocowych, daje wszelkie wskazówki, pośredniczy w kupnie odpowiednich drożdży winnych i t. p.

Sekretarz towarzystwa p. Andrzej Mering, z niesłychaną cierpliwością i uprzejmością starał się mnie wtajemniczyć we wszelkie „arkana” winiarstwa, i obiecał wszelką swą pomoc w tym względzie dla „Bluszczu” a przez to i dla jego Czytelniczek. Przy naszej obfitości owoców krajowych i nieraz dużych trudnościach, połączonych z ich spienieniem, każdy dwór, każdy gospodarz mający sad powinienby produkować wino na własny użytek.

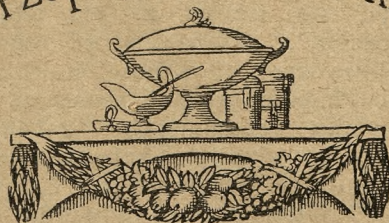
We Francji przecież, w rejonach gdzie rośnie winograd, każdy włościanin pije rok okrągły wino swego wyrobu, a na północy każdy pije takież sam jablecznik „cidre”, wyborny w smaku i łatwiejszy do wyrobu od wina.

Jakby to było wspaniale, żeby już za lat parę, takie wina wszędzie, wszędzie zaczęto wyrabiać, żeby każda z pań ze wsi, obok wybornych konfitur i kompotu, mogła się pochwalić winem własnego wyrobu. A ileby pieniędzy przez to pozostało w kraju! A ile zdrowia oszczędziło by się przez zmniejszenie użycia czystego alkoholu! Żeby tak już nadchodzącej jesieni jakaś szkoła gospodarcza dla kobiet, lub jakieś kursy wprowadziły wyrób win owocowych do swego programu nauk. My kresówki, wyrzucone przez wojnę i rewolucję z gniazd rodzinnych tylko myśli podawać możemy, lecz wy szczęśliwsze nasze siostry z byłej Kongresówki, Wielko i Małopolski te myśli podjąć, rozwinąć i w czyn wprowadzić możecie.

Szczęść wam w tem Bóg!

Pani Elżbieta.

Przepisy gospodarskie



SUFLET ZE SZPINAKU

Pół kilo szpinaku, wrzucić na osolony wrzątek, zagotować raz, odcedzić, ostudzić, przepuścić przez maszynkę wraz z trzema

wymoczonymi w mleku bułeczkami (kajzerkami — warszawiankami).

Masę tę ucierać na misce, aż się stanie zupełnie gładka i jednolita, wbić trzy żółtka, kto ma, może włożyć dziesięć deka drobno pokrajanej pieczeni cielęcej lub szynki gotowanej, lecz nie jest to koniecznem, osolić do smaku, wsypać odrobinę pieprzu i na koniec noża utartej gałki muszkatelowej. Białka ubić na sztywną pianę, ostrożnie zmieszać ze szpinakową masą, ułożyć w ładną kopułę na półmisku, wysmarowanym masłem (naturalnie metalowym) i wstawić w średnio gorący piec na pół godziny mniej więcej. Tymczasem ugotować sześć jaj na twardo wrzucić na chwilę w zimną wodę, aby skorupki odstały łatwo, oczyścić i przekrajać na połowę, lub też tyleż jaj posadzić na masle, uważając, aby się żółtka nie rozlały się lub też, co jest najbardziej eleganckie, zrumienić na masle z obu stron, sześć zgrabnych grzanek z bułki, na każdej na ukos położyć pasek śledzia lub sardeli, osypać grubo posiekanymi jajami na twardo, (dosyć jednego, dużego jajka.) Po wyjęciu z pieca obłożyć którymkolwiek z tych trzech garniturów i podać natychmiast do stołu, aby suflet nie opadł. W sosjerce oddzielnie się podaje zrumienione masło z bułeczką lub czyste.

Szpinak w muszelkach. Pół kilo szpinaku wrzucić na osolony wrzątek, zagotować raz, (dłużej gotowany szpinak traci smak i kolor), odcedzić, usiekać lub przepuścić przez maszynkę. Zasmażyć w rondelku sporą łyżkę masła, wrzucić szpinak, gdy zawrze wsypać łyżkę maki i wlać sporą szklankę mleka, zagotować raz, — jarzyna powinna być bardzo gęsta. Osolić, wsypać odrobinę pieprzu, kto lubi zapach gałki muszkatelowej, może nieco dodać. Wrzucić sześć jaj do wrzącej wody, gotować na dużym ogniu wyraźnie trzy minuty, włożyć do zimnej wody, aby łupinki łatwo odstały, oczyścić. Białka powinny być zupełnie ścięte, natomiast żółtka pozostają zupełnie miękkie. Sześć muszelek wysmarować masłem ułożyć w nich szpinak, w każdą w nich włożyć jajko, wsuwając je do połowy w szpinak.

GALARETA W POMARAŃCZACH

Ile osób, tyle dużych pomarańcz. W każdej pomarańczy wyciąć otwór rozmiaru dwuzłotówki, przez ten otwór wyjąć ostrożnie cały sok i mięśnie pomarańczy nie naruszając nigdzie skórki. Soku z dziesię-

ciu pomarańcz będzie około dwóch szklanek, dodać do niego sok z jednej cytryny, parę kawałków cukru otartego o skórkę pomarańczy, szklankę lub nieco więcej cukru, (zależnie od tego, czy galareta ma być bardziej lub mniej słodka) dwie szklanki wody i osiem listków czerwonej żelatyny, zagotować wszystko razem, precedzić przez muslin lub bardzo gęste sitko. Pomarańcze ustawić w jakiejś dużej salaterce czy brylwaninie tak, aby otwory miały u góry i nie przewracały się, ponalewać w nie do pełna, czerwonej galarety i zastudzić na lodzie. Gdy zupełnie zastygnie galareta poukładać jak całe pomarańcze i podawać je jak zwykle z tą różnicą, że zamiast nożyków podaje się do nich łyżeczki.

Pani Elżbieta

Korespondencje działu praktycznego

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

St. Chmiel.

Radzę natychmiast zwrócić się do lekarza chorób wewnętrznych gdyż z opisu Pani, wygląda mi to na powiększenie gruczoła tarczycowego. Naturalnie nie widząc Pani, nie mogę osądzić napewno, rozstrzygnie tu lekarz specjalista. Jest to cierpienie bardzo poważne, przewlekłe, lekceważyć go nie należy — raczej w czas zapobiec.

P. H. Koss

Na piegi środków radykalnych niema. Usuwać je można odpowiednią maścią, złuszczałą skórę, a stosować to musi lekarz, gdyż jest to środek, z którym się trzeba umiejętnie obchodzić. Patentowane, a tak reklamowane środki nie zawsze pomagają, a mogą zaszkodzić — bo skóra każdej twarzy jest inna, co przy stosowaniu środków trzeba brać pod uwagę.

Usunąć włosy można tylko elektrycznością, choć to jest kosztowne i żmudne, jednak jedynie tylko wtedy nie odrastają.

Brodawki dadzą się usunąć tylko elektrolizą bez śladów i blizn. Inne środki zostawiają blizny i brodawki odrastają, wobec czego ich nie stosujemy.

Włosy pociemnić można tylko przez ufarbowanie. Używać farby roślinnej, a nie mineralnej, gdyż ta ostatnia może się odbić szkodliwie na ogólnem zdrowiu i wywołać ślepotę.

Żywy kolor ust, nie farbując, trudno jest otrzymać. Zależy on jest od naskórki, od zdrowia. Można spróbować okłady kwaśne na

noc, stosując łyżeczkę wody Burowana szklanę wody, raz na tydzień.

Gdy wysychają, zastosować na noc wcieranie olejku wazelinowego z olejkiem różanym — na 10 gr. olejku wazelinowego 1 kropla olejku różanego.

P. Józefina — N. Kraków.

Radykalnych środków na usunięcie piegów raz na zawsze niema, a reklamowane, jak się Pani sama przekonała, są szkodliwe, gdyż jeden i ten sam środek nie może być stosowany na każdą skórę. Przez stosowanie odpowiedniego kremu, co decydować może tylko lekarz specjalista, można piegi usunąć jedynie czasowo.

J. D. — ziemia Lubelska

Niezawodnego środka na popęśnienie biustu niema. Jeśli organizm jest ogólnie zdrowy i prowadzi się system życia higieniczny, powiększyć biust i zjędrnić można jedynie za pomocą systematycznego masażu.

Wszelkie reklamowane kremy i pigułki o ile nie są szkodliwe, pomóc absolutnie nie mogą.

Ufna

Stale podpuchnięte oczy świadczą o przewlekłym, wewnętrznym cierpieniu. Mogą być powodem nerki, serce lub naczynia krwionośne — albo system nerwowy nie w porządku. W razie gdyby lekarz chorób wewn. nic nie znalazł — trzeba się udać do specjalisty chorób ocznych — może to poprostu obrzęknięcie powiek jest skutkiem stanu zapalnego tychże. Tylko w ten sposób racjonalny można się pozbyć tej dolegliwości.

Rad. — Siedlce

Trzeba zbadać przyczynę pocenia się rąk, by usuwając ją, zapobiec skutecznie tej dolegliwości. Przyczyną może być stan zdrowia wewnętrzny — system nerwowy nie w porządku lub złe krążenie krwi. Można poprobować kąpiele na ręce: spirytus kamforowy lub olejek gorczycowy, albo formalinę — każdy ten środek w ilości 1 łyżeczki na miednicę wody, osuszyć ręce i zapudrować: równą ilością mączki ryżowej i cynku sproszkowanego.

S. K. z prowincji

Wogóle nie wiem, czy Pani odpowiednio określa swoje cierpienie — gdyż liszajem nazywają ogólnie wszelkie wypryski.

Może Pani spróbuje smarować oliwą i zapudrować po smarowaniu mączką ryżową — powtarzać to przez 10 dni — nie zamaczając wody przy myciu się.

Najlepiej jednak zasięgnąć opinii lekarza osobiście — często jest wi-

nien nie lekarz, że nie pomaga, a pacjent, który się nie stosuje do wskazówek.

Aleksandra Z. — Lubelskie.

Patrz piegi, odpowiedź dla H. Koss.

P. M. K. — Czerniów Nowy

Włosy siwe — i otyłość patrz odp. „H. W.”

Błyszcząca skóra — patrz odpowiedź „Luda, czytelniczka Bluszczu”.

Wągry są to zatłuszczone nadmiernie rozszerzone gruczoły łojowe. Każda normalna skóra posiada gruczoły łojowe. W patologicznych stanach gruczoły łojowe skórne przerastają i wydzielają nadmiar tłuszczu (skóra błyszcząca). Nazywa się to łojotok. Następnie wskutek powiększenia się gruczołów, zwiększają się i ich ujścia. Tworzą się otworki t. zw. pory. Zatykane kurzem tworzą wągry — a gdy do tego dostaną się bakterie, powstają krosty. Wągry są to czarne punkciki, występujące najczęściej na brodzie i końcu nosa. Wągry dają się wyciskać. Prawie zawsze wyciskane palcami, tworzą brzydkie blizny i krosty. Nie wolno wyciskać — może to robić jedynie lekarz czystym instrumentem.

Pierwszy warunek, konieczny należy systematycznie odtłuścić skórę za pomocą parówek, spirytusu salicylowego lub oczyszczonej benzyny. Drugi — umiejętny masaż w celu zmniejszania gruczołów łojowych i doprowadzenia skóry do normalnego stanu.

Wągry — cierpienie przewlekłe — przy racjonalnym, długim leczeniu i dużej cierpliwości, da się w zupełności uleczyć!

Stacha P. N. — Kraków

Przekonała się Pani, że obcięcie włosów nie wpływa na porost. Jeżeli u Pani wypadanie włosów jest na tle łupieżu, to takową należy usunąć, wcierając maść siarczaną: 10 gr. siarki na 100 gr. wazeliny — na 24 godziny przed myciem głowy. Myć raz na dwa tygodnie. Dobre rezultaty daje masaż.

Twarz i ręce należy nacierać kremem, gdyż, sądząc z opisu, skóra Pani jest za sucha. Jeżeli pani nie posiada recepty lekarza na krem, smarować czystą wazeliną amerykańską.

Piegi — patrz odpowiedź H. Koss.

Młoda

Ażeby skutecznie zaradzić na wypadanie włosów, trzeba przede wszystkim wyszukać przyczynę wypadania. Czy włosy są tłuste czy su-

che? czy jest łupież? jaki stan ogólny zdrowia? proszę bliżej opisać.

By usunąć zmarszczki, trzeba, by ogólny stan zdrowia był dobry, prowadzić higieniczny tryb życia i masować odpowiednim kremem, zapisanym przez lekarza.

Anna W. — Kraków

Kolor skóry rąk zależny jest od koloru całego ciała. — Można nieco pojaśnić przez odpowiednią pielęgnację. — Nie wolno myć rąk w zbyt zimnej lub zbyt gorącej wodzie. — Należy dobrze osuszać, wrażliwe na zimno dobrze ochraniać. Przed umyciem wlać na rękę parę kropli gliceryny z sokiem cytrynowym, spirytusem i boraksem. Następnie spłukać i osuszyć dobrze.

Proporcja: 1 cytryna, 50 gr. gliceryny, 150 gr. spirytusu, 1 gr. boraksu.

Jeśli nie pomoże, na noc smarować czystą wazeliną amerykańską (napewno środek lepszy niż reklamowany krem o nieznanym składzie).

Luda, czytelniczka Bluszczu

Pieprzyki mogą być złuszczone silnymi środkami, i dlatego nie wolno tego robić bez porady lekarza, gdyż mogą pozostać blizny.

Skórę błyszczącą nacierać dwa razy na tydzień spirytusem salicylowym 1 proc. — jeżeli skóra nie znosi spirytusu, wycierać benzyną oczyszczoną — pozatem parować twarz parówką raz na tydzień. Jeżeli nie pomoże — proszę jeszcze napisać.

P. Bronisława — Poznańskie

Piegi — patrz odpowiedź Józefina N.

Pielęgnacja włosów wymaga przede wszystkim czystości. Czystość uzyskujemy przez dopływ świeżego powietrza do skóry na głowie i przez regularne mycie włosów.

Myć należy raz na 10 dni. Woda letnia, najlepiej deszczowa, lub do zwyczajnej dodać łyżkę sody oczyszczonej na miednicę wody. Do mycia włosów najlepiej używać płynu w domu przyrządzonego. Jest nie drogi, dobrze zmywający i nieszkodliwy.

Przepis: 4 żółtka, 200 gr. spirytusu mydlanego, łyżkę boraksu i łyżkę salmiaku (Amonium moriatum) rozpuścić w litrze wody przegotowanej. Włosy zamoczyć w letniej wodzie, z tego płynu zrobić pianę na głowie, pozostawić tak na pięć minut. Następnie spłukać wielką ilością wody, dodając kwasu octowego dwie łyżki na miednicę wody, lub octu winnego $\frac{1}{4}$ szklanki na dużą miednicę wody.

Majorowa J. J.

Instytutu, o który Pani pyta, w Warszawie na razie niema.

Nie wolno używać tego samego środka na rzęsy co i na włosy, albowiem można wywołać zapalenie oka.

Mycie włosów—patrz odpowiedź Bronisława—Poznańskie.

H. W.

Reklamowane pasy odtłuszczające nie dają żadnych rezultatów dobrych, a przeciwnie są bardzo szkodliwe, gdyż przedewszystkiem uciskają wnętrzności. Wskutek gumi nieprzepuszczalnej powstają odleżyny na skórze, wypryski, zapalenie skóry b. swędzące, trudne do leczenia.

Na otyłość zalecić można jedynie ruch, gimnastykę i zastosowanie stałego masażu które mogą wywołać odpowiedni skutek. Nie wolno się głodzić, ale trzeba prowadzić stosowne odżywianie, trzeba się ważyć na początku i na końcu każdego miesiąca dla orientacji.

Co do pielęgnowania twarzy — trudno radzić nie zbadawszy skóry: np. skóra tłusta albo chuda, cienka albo gruba, wymagają zupełnie innego rodzaju zabiegów.

Zgadzam się zupełnie ze zdaniem Pani, że siwizna w młodym wieku jest przykrością trudną do zniesienia.

Nawet osoby starsze, ze zrozumiałych powodów, starają się pozbyć siwizny.

Jednym z poważnych powodów, poza względami estetycznymi, jest ten, że kobiecie o wiele trudniej dostać i utrzymać się na posadzie gdy ma siwe włosy.

Farbować należy farbą roślinną, z porady lekarza, gdyż są farby, które mogą wywołać zapalenie skóry, wypadanie włosów, a nawet ślepotę.

Rzymiance

Co do powiększającego się tak bardzo podbródka pani, należy się zwrócić po poradę do lekarza osobiście, bo może to być powiększenie gruczołu tarczowego, co jest niebezpieczne i przewlekłe w leczeniu.

Na tycie zalecić mogę przedewszystkiem nie głodzenie się, a tylko odpowiednio się odżywiać — sporty, gimnastyka i masaż. Ponieważ pani ruchy szkodzą na system nerwowy, pozostaje masaż ogólny, jako jedyny środek pewny i skuteczny, lecz trzeba go stosować stale i systematycznie.

Dr. med. J. Świtalska

LAMPY

kolumnowe, salonowe i nocne

MEBELKI

pułta, pandory, bloki, lusterka, ramki, lichtarze i t. p.

BATIKOWANE I INKRUSTOWANE

po cenach ŚCIŚLE FABRYCZNYCH
i na DOGODNYCH WARUNKACH
ZAPŁATY poleca:

TOW. HANDLOWO - PRZEM.

„TERRA“

Sp. z o. o.

w WARSZAWIE,

ulica. Świętokrzyska № 20,

telefony 79.76 i 96.20.

I piętro, front, od 9 rano do 4 m. 30 pp.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Opis sukien i robót do Nr. 19.

325. Suknia z jasno brązowego crêpe marocain haftowana kolorami i złotem.

326. Suknia z popeliny lilas rose, przybrana białą plisą i kołnierzykiem z białej organdy.

327. Kostjum z sukienka piaskowego koloru.

328. Letnia sukienka z kreponu gładkiego i deseniuowego.

329. Fartuszek dla dziewczynki od lat 4 do 6 z ciemnej satyny, naszyty jasnymi pliseczkami.

330. Suknia z deseniuowego crêpe de chine'u. Spódniczka i plisy z ciemnego crêpe marocain.

331. Suknia z crêpe marocain koloru rubinowego przybrana guziczkami i czarnym oblamowaniem.

332. Suknia z markizety gładkiej i deseniuowej.

333. Suknia z surowego jedwabiu w pasy z dużym żabotem.

334. Suknie z kreponu w pasy, przybrane guziczkami.

335. Suknia na ulicę z lekkiego sukienka — pas ze skórki.

336. Ubranko dla chłopczyka od lat 4—6. Bluzka z surowego jedwabiu, majteczki z wełny w drobny przerabiany desenik.

337. Suknia z surowego jedwabiu przybrana mreżkami z deseniuowego jedwabiu.

338. Szlaki do wyszycia atłaskiem i ścięciem pocztowym na letnich sukniach.

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna. zł. 3.50 suknia zwyczajna 2.50 bluzka 2.00 formy dzieciinne. 2.00 bielizna 1.50

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową wynosi

Rocznie—57 zł. 60 gr., kwartalnie—14.60, miesięcznie—4.80.

Zagranicą: miesięcznie—8 zł. Zmiana adresu 30 gr.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA.

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście (Plac Zamkowy) № 99.

Telefon № 239-40.

Konto czekowe P. K. O. № 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA.
Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99. Tel. 239-40.



KOMUNIKAT

BIURA PRASOWEGO

DLA SPRAW KOBIECYCH



W A R S Z A W A

9 MAJA 1925 r.

Zjazdy

ZJAZD KOŁA MŁODYCH ZIEMIANK. Dnia 10 i 11 maja, odbędzie się w Warszawie Zjazd Młodych Ziemianek.

Program zjazdu następujący: 1 dzień Zjazdu w sali C. T. R. (Kopernika 30), godz. 10 ta rano Msza Św. w kaplicy Św. Wincenego o Paulą (Ordynacka 4), godz. 11 ta rano otwarcie Zjazdu, godz. 11-ta i pół referat p. Karczewskiej, „O stosunku warstw wykształconych do zagadnień społeczno-oświatowych w Polsce” — dyr Stemler, godz. 1-sza popoł. Głos Koła Młodych — p. Helena Sołtanówna, Głos Polskiego Stow. Młodych Kobiet — p. Joanna Kossak. Wieczorem o godz. 9-ej herbatka w Klubie Młodych Ziemianek dla uczestniczek Zjazdu.

2-gi dzień Zjazdu w Świątlicy Ziemianek (Marszałkowska 149), godz. 10-ta r. Sprawozdanie z 2-letniej działalności Zarządu Koła Młodych Ziemianek — p. Helena Dernałowiczówna 2) Sprawozdanie z Klubu Mł. Ziemianek — p. Magdalena Skarżyńska, 3) „Młodzież wobec zagadnień społeczno-religijnych” p. Elżbieta Czapska, 4) Dyskusje nad pracą poszczególnych sekcji: a) współpracy z nauczycielstwem — p. Kazimiera Rosinkiewiczówna b) Kół Młodzieży — p. Teresa Zamoyńska, c) Społeczno-propagandową — p. Anna Czetwertyńska.

Pierwszy dzień Zjazdu z udziałem zaproszonych gości, drugi, jako poświęcony wyłącznie działalności Koła Młodych Ziemianek tylko dla członkiń, lub osób pragnących zapisać się do Koła.

— Zjazd Kobiet Wiejskich Z inicjatywy Związku Zjednoczonych Ziemianek odbędzie się w dn. 21 i 22 maja zjazd kobiet wiejskich. Spodziewane są delegatki ze wszystkich okolic Polski.

— Dnia 26 kwietnia odbył się w Sosnowcu Zjazd Powiatowy Narodowej Organizacji Kobiet. Przewodniczyła p. Stanisława Wroncka. Przybyły z Warszawy posłanki: Puzynianka i Balicka oraz członkini Zarz. Gł. Zofja Cichocka, a ze Śląska panie Wasilewska i Prabucka.

Program Zjazdu wypełniły sprawozdania kół i Akademja, podczas której posłanka Balicka wygłosiła referat o sytuacji politycznej w Polsce, a p. Wroncka i „O potrzebie konsolidacji wewnętrznej”. Na Zjeździe obecnych było kilkadziesiąt członkiń.

Rezolucja Zjazdu zaleca:

„Wstrzymania się od kupna wszelkich przedmiotów zbytku, a w pierwszym rzędzie tych, które są sprowadzone z zagranicy”.

Z życia stowarzyszeń

Z „RODZINY WOJSKOWEJ”. Sekcja sanitarna. Staraniem sekcji sanitarnej, z dniem 1 maja wtorki i soboty od godz. 1 i pół do 2 i pół w szpitalu Ujazdowskim w ambulatorjum kobiecym ordynować będzie dr. J. Świątalska (choroby skórne i płciowe) wyłącznie dla kobiet, żon i córek wojskowych.

Ze względów na dyskrecję, legitymacje sprawdzać będzie jedynie dr. Świątalska.

Również staraniem sekcji sanitarnej uruchomiona zostanie w najbliższych dniach pomoc lekarska dla dalszych członków rodzin wojskowych (rodzice, rodzeństwo, a także służba, będąca na utrzymaniu wojskowego). Przyjęcia w ambulatorjach, w wyjątkowych wypadkach pomoc w domu. Najwybitniejsi lekarze specjaliści wyznaczają bezinteresownie minimalną opłatę, z której dochód zasilać będzie cele dobroczynne.

Pomoc lekarska wyłącznie dla członków „Rodziny Wojskowej”. Po kartkę do lekarza zgłaszać się należy z legitymacją do sekretariatu „Rodziny Wojskowej” w pałacu Mostowskich codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od 5 — 6 popoł.

Tamże zapisywać się można na członków stowarzyszenia.

O dniu wprowadzenia w życie pomocy lekarskiej nastąpi oddzielne zawiadomienie.

SEKCJA PRAWNA. Sekcja prawna zapowiada nader ciekawy odczyt pierwszej polskiej adwokatki p. Heleny Wiewiórskiej p. t. „Prawa cywilne kobiet”. Datę odczytu podamy niebawem.

SEKCJA KSZTAŁCENIA ZAWODOWEGO. Sekcja kształcenia zawodowego podaje do wiadomości, że są miejsca wolne na kursie introligatorstwa. Zapisy przyjmuje sekretariat stowarzyszenia od 5—6 popoł. wyłącznie do 9 dn. 5 maja.

SPRAWOZDANIE TOW. ZIEMIANK POW. STUMSKIEGO, ZA ROK 1924. Członkowie zarządu: przew. H. Sierakowska Waplewo, sekr. W. Donimirska Hohendorf, skarb. Róża Wiśniewska Kułkowice bibliot. W. Donimirska.

Ilość zebrań odbytych 4, odczytów 5, przedstawień, zabaw etc. 1 bazar na kościół w St. Targu z loteryą wiktuałów i żywego drobiu.

Treść odczytów i nazwisko prelegentki:

„Czasy obecne a wychowanie młodzieży” M. Donimirska, Ks. Józef Poniatowski-St. Grochowska. „Charakter a prawdziwe wykształcenie” — K. Wiśniewska. „Juliusz Słowacki,” — St. Gawrońska. „Co ciekawego powiedzieć można o moście ludzkiej w ogóle a naszej w szczególności” — G. Kowalska.

Zbiórka na zakład sierot kresowych dała 101 sztuk odzieży prawie nowej i 240 M. (ok. 270 zł)

Tow. prowadziło 5 kół kobiet wiejskich pod wezw. Ś-tej Kingi (5-te powstałe w grudniu b. roku) w których się odbyło, według załączonych sprawozdań: odczytów 42, zebrań 36, bibliotek prowadzi się 10, ochron wspomaga 7, wakacyjnych 5, przedstawień i zabaw 4.

Przeprowadzono akcję o umieszczenie dzieci polskich z zachodu Niemiec, bez dodatnich wyników.

Fundusze obracano na abonowanie gazety „Przewodnik Katolicki” w 12 egz. dla kół wiejskich, poza tem prenumerowano „Bluszcz” i „Naokoło Świata” oraz tworzo no biblioteczkę prywatną Ziemianek, mającą zawierać wyłącznie dzieła naukowe z zakresu pedagogji, historii, i materiały do pogadanek ludowych i odczytów.

Tow. brało udział w walnem zebraniu Ziemianek przez jedną tylko przedstawicielkę, a to z powodu utrudnień pasportowych.

— NARODOWA ORGANIZACJA KOBIEC w Dubnie na Wołyniu na Walnem Zgromadzeniu w dn. 21-go marca postanowiła zwrócić się do Komisji Kodyfikacyjnej z żądaniem, by przyszedł kodeks karny ze specjalną surowością odniósł się do tych wystąpień w słowie druku, plastyce i t. d., które szerzą zepsucie moralne i pobudzają do niego.

— KOŁO POLEK w Białej-Podlaskiej na zebraniu ogólnem w dniu 28 marca dokonało wyborów nowego zarządu. Jako przewodniczącą weszła p. Marja Kałuszyńska, jako członkini panie: Kończyńska-Gałoszyńska, Okulanka-Wolska, Chłopicka-Remiszewska

Udział kobiet lwowskich w prasie i literaturze

(Kor. wł. B. Pr. dla Spr. Kob.)

Lwów 25 kwietnia.

Wojna wprowadziła we Lwowie, podobnie zresztą, jak gdzie indziej, znaczną ilość kobiet do dziennikarstwa; wywiązywały się z tego zadania sprawnie, inteligentnie, nieraz z dużym talentem i temperamentem. Trwały na stanowisku w obleżonym mieście, redagując samodzielnie pisma; gdy zapanowały stosunki normalne i spokój, w znacznej mierze wyparli je mężczyźni. Obecnie pracują w dziale reporterskim i literackim:

W redakcji „Kurjera Lwowskiego” p. Michalina Hausnerowa;

W redakcji „Dziennika Ludowego” panie: Marja Hausnerowa i Anna Rosenberżanka; W redakcji „Gazety Lwowskiej” i „Porannej” p. Janina Kossak-Pełęńska;

W redakcji „Wieku Nowego” p. Aniela Kallas.

Od czasu do czasu pojawiają się ponadto w pismach lwowskich, które zresztą niewiele miejsca tracą na literaturę, utwory kobiecego pióra.

W zawodowym Związku Literatów Polskich, którego sekretarką jest p. Ida Wieniewska, a bibliotekarką p. Irena Mrozowicka, zgrupowanych jest 15 kobiet, co na ogólną liczbę 52 członków Związku stanowi w każdym razie pokątną cyfrę.

Z końcem zeszłego roku ubył z tej grupy śp. Marja Bańkowska, utalentowana powieściopisarka, autorka tyle swego czasu chwalebnych „Horyniec”, i „Piosnek żołnierza”.

I. W.

Czytelnia dla inteligencji w Piotrkowie

(Koresp. wł. B. Pr. dla Spr. kob.)

Piotrków, 24-IV.

W gmachu Tow. Dobroczynności dla Chrześcjan w Piotrkowie, z inicjatywy Rady tegoż Towarzystwa powstała w kwietniu roku 1924 Czytelnia dla Inteligencji. Czytelnia prenumeruje 26 pism codziennych, tygodniowych i miesięcznych, krajowych i zagranicznych. Spotykamy tam organa wszystkich dzielnic polskich — i stronnictw. Członków ma blisko 100 i liczba ta ciągle wzrasta. Opłata 2 zł. miesięcznie. Latem cieszy się mniejszą frekwencją, ale zimą duży ładny pokój oddany zupełnie bezinteresownie przez Radę Tow. Dobroczynności dla Chrześc. w Piotrkowie, ledwie może pomieścić czytających. — Na czele tej czytelnicy stoi radna Tow. Dobroczynności p. Celina Milewska. C. M.

Więści z Wołynia

ŁUCK 22-IV-1925 R,

Korespondencje biura prasowego dla spraw kobiecych.

W palmową niedzielę i poniedziałek odbył się w Domu Stowarzyszeń Polskich w Łucku wielki kiermasz, urządzone przez Komitet rodzicielski Seminarjum nauczycielskiego w Łucku, na dochód tegoż Seminarjum. Inicjatywę i kierownictwo ujęła w swe ręce p. J.

Sadkowska przy chętnym współudziale innych pań. Z materialną pomocą pospieszyły większe firmy łuckie, użyczając towarów do oddzielnych kiosków: galanterja, perfumerja, kwiaty, artykuły spożywcze, — oraz odstępując na rzecz Seminarjum pewien procent zysków. W osobnym gabinecie rozłożono również na sprzedaż roboty ręczne uczniów i uczennic Seminarjum: bielizna, biały i kolorowy haft, wypalane z gliny i malowane garnki oraz wyroby w drzewie, — a także prace, udzielone przez panie z poza Komitetu: makaty, poduszki, dywany, ekrany. Inne panie zaopatrzyły bufet. Kilka panierek — urzędniczek ofiarowało swą pomoc przy atrakcjach: przebrane za tureczynki, murzynki — sprzedawały cygara, papierosy i pomarańcze, inne w str. jach ludowych sprzedawały w poszczególnych kioskach; dwie cyganki wróżyły w osobnym namiocie.

W tygodniu świątecznym szkoła freblowska przy Macierzy Szkolnej w Łucku urządziła małą uroczystość, z powodu imienin prezesa M. S. ks. Baranowskiego.

Szkoła egzystuje od 1-X-1914 r. z inicjatywy i funduszy P. M. S. w Łucku, pod fachowem kierownictwem p. Zielińskiej (ukończyła szkołę freeblowską w Lublinie); i jej pomocnicy p. Domańskiej. Do szkoły uczęszcza obecnie 26-rodzice od lat 4-eh do 7-miu, przeważnie ze sfery urzędniczej, w godzinach rannych od 9-tej do 3-iej. Lokal składa się z dwóch pokoi-ków, milutko urządzonych: pierwszy do gier — pusty, drugi do nauki i robót — z ławkami; oba — mają ściany przyozdobione barwnymi obrazkami dzieci i zwierząt, portretami królów polskich i kolorowym wykresem: „kontrola uczęszczania”.

Dzieci uczą się pisać, czytać, słuchają pogadanek o rzeczach, lepią z gliny i plasteliny, wycinają, wyszywają na kartonach. Widziałam ich zeszyty zapisane i zarysowane jednocześnie, a niektóre ozdobione wycinankami.

Bardo ładnie śpiewają i milutko robią swoje gimnastykę rytmiczną.

Interesują się i opiekują szkołą panie: Zaykowska, vice-prezesa Macierzy Sz. okr. Wołyńskiego i mecenasowa Godlewska.

Dn. 19 i 20 b. m. odbył się w Kowlu zjazd harcerski wszystkich szarż żeńskiej Chorągwi Wołyńskiej pod przewodnictwem kometantki Aliny Nekraszowej. Przedstawicielki swoje wysłały następujące środowiska: Kowel, Krzemieniec, Łuck, Ostroń, Zdobunów, Równe — razem około 30-tu dziewcząt, przy współudziale gości: przed-

stawicieli męskiego harcerstwa, nauczycielstwa i Koła Przyjaciół. Wśród gości, była również dawna Komendantka Chorałwi Alina M. Skorupska. Dyskutowano o ideologii dzisiejszego harcerstwa na podstawie referatu Aliny Czajkowskiej z ostatniego walnego zjazdu we Lwowie, biorąc stąd wytyczne dalszego programu pracy.

Na odprawie drużynowych hufiec krzemieniecki udzielił ciekawych spostrzeżeń ze swej pracy nad zuchami.

Dn 19, 20 i 21 b. m. odbył się w Łucku szereg wykładów dla pracowników oświatowych urzędzonych przez P. M. S. okr. Wołyńskiego. Prelegentami byli p. J. Stemmler, dyrektor Centr. Zarządu P. M. S. z Warszawy i p. Rjo sinkiewiczówna (ogrodnictwo, gry i zabawy). Wykłady wzbudziły wielkie zainteresowanie wśród miejscowego społeczeństwa, a prócz tego zjechało się na nie licznie nauczycielstwo szkół powszechnych Wołynia.

M. Chmielowska.

Nauka i sztuka

P. Marja Mirska, pianistka koncertowała z dużym powodzeniem w Paryżu, w salach Camellon, a ostatnio w Wersalu w sali Merostwa, gdzie towarzystwo „Amis de la Pologne” urządziło recital muzyki polskiej.

— Na wystawie Tow. Przyj. Sztuk Pięknych w Poznaniu wystawiły prace swoje: Dziurzyńska, Rosińska (kolekcje widoków z Włoch) K. Pajzderska, W. Pajzderska i Sieniowska.

— Na wystawie Sztuki Polskiej w Rzymie zwracały uwagę prace graficzne Zofji Stankiewiczówny. „Messagero” z dnia 5 kwietnia poświęca im pełną gorących pochwał ocenę, podnosząc wysokość ich wartość malarską. Tamże znajdują się prace rzeźbiarki polskiej, K. Mińskiej.

Udział kobiet w stowarzyszeniach mieszanych

— Na Zjeździe delegatów Towarzystwa Czytelni Ludowych na Pomorzu, odbytym w Gdańsku dnia 21. IV. 1925 r. na sekretarki obrano panie Pohlmanową z Wejherowa i Marlewską z Gdańska. Obie te panie powołane zostały do Rady Wojewódzkiej Tow. Czytelni Ludowych.

— Do Prezydium P. Czerw. Krzyża w Łodzi powołano dn. 7 IV p. Anielę Chawłowską, panie Arctową i Skalską w charakterze zastępczyni.

Do Zarządu Polskiego Tow. badań psychicznych między innymi wybrane zostały panie: Marja Przybylska (vice-przewodnicząca) i. Skaczowska (sekretarka), W. Skórkowska (skarbniczka) i Marja Martowa.

SEKCJA KOBIECA KOŁA P. M. S. NA POWIŚLU. Przy Kole Polskiej Macierzy Szkolnej „Przyszłość” na Powiślu w Warszawie powstała sekcja kobieca, z inicjatywy prowadzącej koło, p. Aliny Sosnowskiej.

Do Sekcji kobiecej należy kilkadziesiąt młodych pracownic, urzędniczek, modystek, ekspedjentek itp.

W sekcji odbywają się wykłady z dziedziny higieny kobiety, nauki stylu, czytanki historyczne i nauka języka polskiego. Członkinie sekcji należą do kółka śpiewaczego oraz kółka dramatycznego. Wspólnie z młodzieżą męską. Kółka te urządzają często bardzo udatne przedstawienia i występy chóru, który doskonale funkcjonuje, oraz wycieczki krajoznawcze, zabawy i rozrywki.

Sekcja korzysta również z biblioteki i czytelni oraz z wykładów, jakie obecnie odbywają się systematycznie w „Uniwersytecie Ludowym”, zorganizowanym przez Macierz na Powiślu. W pracy oświatowej współdziała z Macierzą na Powiślu. młodzież akademicka Powiśla.

Placówka ta mieści się w lokalu „Domu Ludowego Powiśla” w Al. 3 Maja. № 8.

Przegląd prasy

W Nr. 85 „Gazety Olsztyńskiej” z dn. 12. IV widzimy poezję Pauli Wężyk p. t. „Chrystus zmarł twychwał”.

Toż samo pismo w Nr. 84 z d. 10. IV zamieszcza przedruk pięknego wiersza M. Konopnickiej: „Tak mi się czasem wydaje, o Chryste...”

„Gazeta Bydgoska” w Nr. 87, z d. 16. IV drukuje w odcinku feljetonowym szkic literacki Wandy Wyhowskiej p. t. „Koncert Chopina”.

„Płomyk Nr. 33 drukuje A. Makowieckiej: „Z legend o kwiatkach” i Ewy Szelburg-Ostrowskiej „Sen Janka”.

„Ilustracja” Nr. 15 zamieszcza portret młodej malarki M. Rozbickiej, oraz krótki artykuł o wystawie jej obrazów.

„Teatr Ludowy” Nr. 3 zamieszcza W. Nagórskiej „U kolebki teatru”.

„Dziennik Bydgoski” Nr. 92 drukuje nowelę Aliny Prus Krzemieńskiej, p. t. „Barwinek”.

— „Poradnik dla gospodyń wiejskich” wychodzący pod redakcją Wandy Żebrowskiej zamieszcza w Nr. 3 cim artykuł Stefanji Bojarskiej, p. t. „Praca kobiet na Pomorzu”. Autorka charakteryzuje kobiety pomorskie, jako rządne i zapobiegliwe gospodynie i matki wychowujące nieraz po 12 do 14-ściorga dzieci na zdrowych i dzielnych ludzi.

— „Siew” Nr. 12, organ Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej drukuje w nrze 12-ym artykuł St. Bojarskiej p. t. „Jak żyją i jak pracują gospodarze na Pomorzu”.

— „Goniec Krakowski” z dnia 20. IV w Nr. 91 zamieszcza szkic historyczny o słynnej poetce średniowiecznej Krystynie de Pisanio, p. t. „Obrończyni kobiet w r. 1399”.

„Łódzkie Echo Wieczorne” z d. 18. IV drukuje artykuł o ruchu kobiecym w Turcji.

— „Gazeta Rybnicka” drukuje na naczelnem miejscu referat posł. Stęślickiej, p. t. „Ubezpieczenie społeczne w Polsce”, wygłoszony na zebraniu Chrz. Dem.

— „Gazeta Bydgoska” z d. 19. IV zawiera obszerną korespondencję z Rzymu Wandy Widigerowej.

— „Przyjaciel Szkoły” Nr. 8, drukuje Antoniny Fafarówny lekcję wzorową języka polskiego.

— „Ekspress Poranny” Nr. 116 zdaje sprawę z posiedzenia Komitetu Społecznego — przygotowania kobiet do obrony kraju. Ton artykułu sympatyzujący z ideą Komitetu.

— „Kurjer Warszawski” Nr. 118, podaje sprawozdanie ze Zjazdu Koła Polek.

— „Gazeta Poranna” w Nr. 105 z dn. 17. IV drukuje feljeton J. Adwigi Hłasko, p. t. „Listy z Riwiery”.

— Nr. 17 „Wiadomości Literackich” z dn. 26. IV zawiera obszerniejszą recenzję M. Dąbrowskiej o pierwszym zbiorowym

wydaniu dzieł Edwarda Abramowskiego. W tymże samym numerze widzimy sylwetkę literacką znanej autorki włoskiej Grazii Deledy, kandydatki do nagrody Nobla.

— „Głos Narodu“ Nr. 95 drukuje Marji z Bohowitynow Świdorskiej „Awanturnicze śluby“. Autorka porusza sprawę ślubów między prawosławnymi a katolikami za rządów carskich, w zaborze rosyjskim.

Kursy, odczyty, wykłady

Dn. 3 b. m. p. Lucyna Kottarbińska wygłosiła w Tow. „Rozwój“ prelekcję p. t. „O potrzebie budowy instytutu radowego w Warszawie“.

— Dn. 28 i 29 kwietnia prezeska P. Tow. teozoficznego dr. Wanda Dynowska wygłosiła w Wilnie dwa odczyty „Czy człowiek raz żyje na ziemi?“ i „Człowiek — twórcą swego przeznaczenia“.

— Na Zjeździe niewidomych inwalidów, urządzonym we Lwowie dn. 27 kwietnia w imieniu Związku Chrześcijańskich stowarzyszeń kobiecych przemawiała p. Eleonora Lubomirska.

Wiadomości Zagraniczne

ANGLJA. *Delegacja kobiet angielskich wyjeżdża do Rosji.* „Daily Telegraph“ donosi, że w najbliższych dniach udaje się do Rosji sowieckiej delegacja związków zawodowych, złożona z kobiet, celem zbadania stosunków, w jakich żyją tam kobiety. Po powrocie delegacji opublikowany zostanie specjalny raport.

WĘGRY. *Pierwsza inżynierka na Węgrzech.* W politechnice budapesteskiej pierwsza kobieta otrzymała dyplom inżynierski na wydziele maszyn. Wręczenie dyplomu odbyło się z wielką uroczystością. Nowa inżynierka będzie długo unikatkiem w kraju, albowiem politechniki węgierskie nie mają słuchaczek.

TURCJA. *Usuwanie kobiet z Urzędów Państwowych.* Według doniesień z Angory, postanowił rząd turecki usunąć z urzędów państwowych wszystkie kobiety, zajmujące

stanowiska telefonistek itd. Redukcja ta ma objąć 5.000 urzędniczek.

Powodem tych represji mają być wypadki zdradzania przez urzędniczki tajemnic służbowych.

JAPONJA. *Demonstracja feministek japońskich.* Gmach parlamentu japońskiego stał się niedawno widownią demonstracji feministycznej, jakiej dotąd nie widziano w państwie Mikada. Ulice, wiodące do parlamentu, galerje i korytarze gmachu przepełnione były kobietami od najstarszych, aż do młodziutkich dziewcząt, domagającymi się równouprawnienia z mężczyznami. Wysłały one deputację, która wręczyła przedstawicielom rządu trzy memorjały, domagające się: równego prawa wyborczego, cofnięcia przepisu, zabraniającego kobietom japońskim należenia do stowarzyszeń politycznych i dopuszczenia japońek do studjów na uniwersytetach.

FRANCJA. W Paryżu powstała z inicjatywy znanej pisarki, p. Marji Laparcerie, „Wolna Trybuna Kobieta“. Dwa razy tygodniowo odbywać się mają w sali teatru „Comedia“ odczyty, połączone z dyskusją na temat spraw kobiecych.

Pierwszy odczyt wygłosiła p. Jeanne Prevost, artystka teatru „Comédie Française“ o „sytuacji aktorek w społeczeństwie“. Odczyt przyjęty bardzo życzliwie, wywołał ożywioną dyskusję.

Na pytanie, czy aktorka może być żoną i matką, p. Prevost odpowiedziała: „Żoną? Nie. Jest konikiem polnym i musi nim pozostać, mimo wszystko i choćby miała umrzeć w nędzy i opuszczeniu.“

STANY ZJEDNOCZONE. Miss Lucilla Atcherson została mianowana sekretarzem poselstwa Stanów Zjednoczonych w Bernie szwajcarskiem. Po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych powierzono kobiecie stanowisko w dyplomacji. Miss Atcherson liczy lat 31.

Sprawy bieżące

— UPRAWNIENIA MĘŻATEK. Pierwszorzędnej doniosłości orzeczenie w sprawie praw mężatek polskich wydał świeżo Sąd najwyższy w pełnym składzie izby (14 sędziów).

Ustawa sejmowa z dn. 1 lipca 1921 r. o prawach kobiet, między innymi, zmieniła odpowiednie przepisy kodeksu cywilnego Król. Polskiego z r. 1825, dotyczące ograniczenia praw majątkowych męża-

tek. Zmiana polega głównie na tem, że prawo zarządu i użytkowania męża w stosunku do majątku żony, rozciągające się, według kodeksu, do wszelkiego jej mienia, zostało utrzymane tylko co do tego, co żona w chwili zawarcia małżeństwa wniosła, natomiast względem majątku, nabytego podczas trwania związku małżeńskiego, żonie przyznano prawo zarządu, użytkowania i rozporządzania swem mieniem bez asystencji i upoważnienia męża.

Obecnie zdarzyła się sprawa, nasywająca widocznie pewne wątpliwości, gdyż Sąd Apelacyjny w Warszawie stanął na stanowisku, że ustawa z dn. 1-IV-1921 r. ma zastosowanie jedynie do małżeństw, zawartych po jej ogłoszeniu i polecił Wydziałowi hipotecznemu odmówić zatwierdzenia aktu sprzedaży domu przez p. Burawską, dokonanego bez wiedzy i asystencji męża.

Sąd Najwyższy, w pełnym składzie Izby I cywilnej, po wysłuchaniu obszernych wywodów prawnych rzeczników obu stron, oraz wniosków prokuratora, uchylił zaskarżony wyrok, z powodu obrazy ustawy z dn. 1 lipca 1921 r. i polecił Sądowi Apelacyjnemu ponowne rozpoznanie sprawy w innym składzie sędziów.

— HANDLARZ ŻYWYM TOWAREM. We Lwowie aresztowano niejakiego Kuryłowicza, który pod pozorem angażowania dziewcząt do zakładu filmowego w Wilnie, wyludzał od nich opłaty. Stwierdzono, że cztery ze zgłaszających się bardzo licznie kandydatek, zniknęły bez wieści. Aresztowano go pod zarzutem oszustwa i handlu kobietami i dziećmi.

Sport

W zawodach wewnętrznych klubu sportowego „Polonia“, które się odbyły 24 i 25 IV. panie były bardzo słabo reprezentowane.

Do rzutu kulą stanęły Smidówna Slawa i Kelichówna Eugenia, zwyciężyła Smidówna rzucając na 75 m.

W biegu na 100 m. pobiła p. Kwaśniewska Wanda p. Kielichównę Eugenję przychodząc do mety w 14,8".

— Udział pań w konkursach miejskich. Nowością sportową w świecie kobiecym był udział amazońek francuskich w biegu Flory. Pierwszą nagrodę otrzymała p. Ivonne Delacroix.